Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nr. 13 Kraków, dnia 25 lutego 1945 r. Rok II

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA



Zofia Nałkowska

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I.

Auta płynęły czarnym asfaltem jezdni cicho, jak gondole, i bez sygnałów, zwolna, jedno za drugim, skręcały we wspaniałą bramę wjazdową pałacu.

Rozległy plac leżał w ciemnościach pod bezgwiezdnym niebem nocy zimowej. Uczepione wysoko do cienkich łodyg z żelaza lampy łukowe słabo rozświetlały przyziemne mroki. Na placu stały już w dwu rzędach pierwsze zaparkowane samochody.

Łącząca oba skrzydła pałacowe krata oddzielała dziedziniec od placu. Na sześciu słupach barokowych stały figury alegoryczne ze smugami śniegu w twardych fałdach odzienia. Z boku, od strony ulicy, zatrzymała się u kraty grupa zziębniętych przechodniów, którzy nie bacząc na mróz, oglądali widowisko.

Minąwszy słupy wjazdowe, karety przymrużały swe wielkie oczy z ognia i opływając wydłużoną parabolę — czarne, lśniące, tęgopokrywe — stawały w głębi przed jaskrawo oświetlonym portalem pałacu.

Tutaj lokaje, błyskający na mrozie guzikami liberii, zgrabiałymi rękami otwierali jedne po drugich drzwiczki karet. Ze stopnia schodzili dygnitarze w czerni lub w jasnych płaszczach wojskowych i — zgięci wpół ciała — pomagali wysiąść swym kobietom.

Wywlekane za rękę z głębi niskich siedzeń, długie i wiotkie, zamotane w jasne futra, w strojne wieczorowe płaszcze, spowite po palce stóp w lamy i welury, rozkręcały się zwolna jak z kłębka z puszystych sierści zwierzęcych i lśniących jedwabnych łachmanów.

Stąpiwszy na płyty peronu — wyprostowane, wyniosłe, z małymi odsłoniętymi głowami w puklach, przytrzymując rękami powłóczyste szmaty falban i frendzli, prowadzone przez spiesznych mężczyzn, — wbiegały na szerokie stopnie schodów, szybko migając stopami w złotych sandałach.

Auta odjeżdżały z kręgu światła i powracały tą samą drogą na plac, by tam znieruchomieć na długie oczekiwanie. Ale wciąż nadpływały nowe. A wysiadający z nich mężczyźni pochylali się jednakowym rytualnym gestem, by wyszarpnąć z ich wnętrza puszyste, miękkie i ciepłe istoty kobiece i wlec je w blask świateł i tłum ludzi na obrzęd wielkiej rewii sezonu.

Była to jedna z nocy styczniowych pamiętnego roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego. Kilkaset osób w Warszawie otrzymało zaproszenie na raut w apartamentach ministra, wydany dla uczczenia wysokich zagranicznych gości.

Początek rautu wyznaczono na godzinę dziewiątą trzydzieści — czas, gdy ukończony już zostanie obiad, odbyty w ściślejszym gronie dostojników.

Na jednym z zaproszeń, po wylitografowanym tekście: MAJĄ ZASZCZYT ZAPROSIĆ JWP, napisano ręcznie: **Pana Generała Wysokolskiego z żoną**. U dołu zaproszenia z lewej strony, drukiem drobniejszym — niby tonem bardziej poufnym — dodano: Strój wieczorowy. Ordery.

Tak więc teraz z kolei generał w stanie spoczynku, były zastępca wojewody, były senator, były wiceminister, ostatnio po prostu naczelnik sekcji w Departamencie Służby Zdrowia, doktor Roman Joachim Jaspis Wysokolski, wysiadłszy z samochodu, podał rękę żonie swojej, Agacie.

Wyglądali, jak wszyscy inni goście, niczym się spośród nich nie wyróżniali. On był wysokim starszym panem w generalskim płaszczu z bobrowym kołnierzem, ona miała na sobie wieczorowe jasne futro, a jej włosy, ułożone w fale i loki, nie były niczym osłonięte. I ona, jak inne, stanąwszy przed pałacem, zebrała w ręce wąski tren ze srebrno bzowej lamy. I ona, prowadzona za łokieć przez męża, spieszyła po schodach, przebierając drobnymi stopami w srebrnej skórce.

Przybyli tu na skutek wspólnego zaproszenia, przybyli wciąż jeszcze razem — mimo, że ślub ich odbył się lat temu dosłownie trzydzieści. Mogli więc robić wrażenie, że jest z nimi dobrze, lepiej, niż z wielu innymi — tutaj, gdzie żony tak łatwo się zmieniały, zastępowane przez bardziej odpowiednie.

Przecież i w ich wypadku sprawa nie była tak prosta. Już choćby ze względu na trud, z jakim udało się generałowi nakłonić małżonkę do towarzyszenia mu na tę uroczystość.

Zanim uległa namowom męża, generałowa parokrotnie telefonowała do zamężnej swej córki najstarszej, Katarzyny, by się upewnić, czy wybierają się także, czy wybierają się oboje. U telefonu odzywał się tylko dorosły pasierb Katarzyny, Dziunio Oxeński, który nic pewnego nie umiał powiedzieć. Grzecznie przyrzekał, że sam będzie z pewnością, co i bez tego było wiadome. Najdelikatniej przepraszał w imieniu macochy, która nie mogła sama podejść do telefonu, że się położyła, że się ubiera. Jej mąż nawet się nie usprawiedliwiał. Było jasną rzeczą, że u Oxeńskich znów nie dobrze się dzieje.

Wysokolski nie podzielał niepokoju żony, mimo że ta pierworodna Katarzyna była jego ulubienicą, że kochał ją najbardziej ze swych dzieci. Nie przeczył. że jest nieobliczalna i samowolna, już jako mała dziewczynka miała „trudny" charakter. Generał jednak żywił niezmienne zaufanie do rozsądku swego zięcia, z którym łączyła go serdeczna przyjaźń. Ponadto cenił go jako prawego człowieka i — jak się dawniej mówiło — towarzysza idei.

Zresztą całkiem niezależnie od tego, co działo się u Oxeńskich, musiał swą żonę na każde pójście między ludzi ciągnąć i namawiać. Nigdy naprawdę nie należała do jego świata, nie czuła się w nim swoja ani właściwa. Zaprzątnięta drobnymi obowiązkami, które brała na siebie, przejmująca się zawsze sprawami dzieci, jakby już nie były dorosłe, nie próbowała przeniknąć w jego świetne życie. To on — sławny, uroczy, zasłużony Roman Wysokolski, groźny i tajemniczy w swoim czasie Jaspis, usiłował ją niekiedy w nie włączyć. Dzisiejszego wieczoru zaś zależało mu na tym szczególnie.

Istniał wzgląd poważny, dla którego pragnął, by ich tego wieczora widziano razem z Agatą. Wiązało się to z pewną rozmową, którą zamierzał tu przeprowadzić w sprawie, leżącej mu bardzo na sercu. Był podniecony tym projektem i w tym świetle osoba generałowej nabierała szczególnego znaczenia. Znaczenia, którego zresztą wcale nie mogła się domyślać.

W olbrzymiej sieni musieli Wysokolscy odczekać chwilę w tłumie wchodzących, nim za innymi podeszli do ciężkiego stołu, na którym, strzeżona przez cherubów z Em-Es-Zetu, leżała otwarta księga obecności. Rozeznając się między sobą w uświetnionych wielką galą postaciach, składając sobie wzajemne ukłony i ściskając ręce, goście wpisywali do księgi swe nazwiska.

Między młodymi urzędnikami, celebrującymi przy księdze, generałowa odnalazła prędko młodego Oxeńskiego. Nietrudno go było zauważyć. Wydawał się wyższy we fraku, niż na codzień, i jakby bardziej cudzoziemski.

Dowiedziała się odeń, że Oxeńscy są już na górze i odetchnęła z ulgą. Ale wnet zaniepokoiło ją co innego.

— A Sonka? — spytała. — Czy nie zachodziła do was dzisiaj?

Młody człowiek schylił się nagle, by podnieść rękawiczkę obcej damie, która zapisywała się w księdze. Podziękowała, nie obdarzywszy go nawet spojrzeniem.

— Sonka? — powtórzył zmieszany i jakby nieprzytomny.

Jego usta wysunęły się ku przodowi, jak u zasmuconego dziecka.

— Sonka była dziś na pewno. Tylko ja jej nie widziałem.

Generałowa się zdziwiła.

— Jakto, dlaczego jej nie widziałeś? Nie rozumiem.

Edmund Oxeński zdawał się nie wiedzieć, czego od niego chcą.

— Bo musiałem właśnie w tym czasie wyjść z domu — odrzekł po namyśle.

— Acha. A kiedy była?

— Była chyba zaraz po obiedzie. Miała jakąś sprawę do ojca.

— Acha, — mruknęła znów generałowa. Chciała jeszcze zapytać, czy nie było u nich o tym czasie Baraza. Ale się powściągnęła.

Edmund stał przed nią wyprostowany, jakby jeszcze na coś czekając. Dziwny doprawdy był chłopak z tego pasierba Katarzyny. Generałowa nigdy nie mogła się do niego przekonać, choć od dziesięciu blisko lat był w ich rodzinie. I choć — poza pewnym zmanierowaniem — nic naprawdę nie mogła mu zarzucić.

Podchodząc do stołu, wyminęła się zbliska z wysoką, biało ubraną kobietą, która złożywszy w księdze swój podpis, już odchodziła. W przejściu popatrzyła na nią bacznie i — jak wydało się generałowej — z arogancją.

— Nie przypominam sobie, czy ją znam, — powiedziała do męża. Ale generał, pochylony nad książką, nie wiedział już, o kogo chodzi.

Spoza ramienia męża popatrzyła na zapisaną kartę i ponad drobnym zygzakiem **Jaspis Wysokolski gen.** odczytała wysokim, prostym pismem wypisane litery: **Olga Chrudoszowa.**

— Acha, — mruknęła po raz trzeci. — Niewiarogodne. Więc to jest ona... Tutaj...

Dawszy zwlec sobie z ramion futra i płaszcze, otrząsnąwszy się niedbale z tego przebrania zimy, goście — już samą tylko istotą swoją mężczyźni obciśli i gładcy, kobiety do połowy nagie, — wolnym pochodem przenikali po schodach marmurowych w serce gmachu. Schody proste, bez załamań, urn i balustrady, szły długim wąwozem wśród wysokich stiukowych i lustrzanych ścian aż do podestu piętra, gdzie następował fascynujący moment ceremonii.

Oczom wstępujących ukazywały się zwolna — wypukłe i widzialne, od stóp do głowy rzeczywiste postacie: obleczone na tę chwilę w ciało znane fotosy z pierwszej kolumny dzienników, zmaterializowane nazwiska z depesz i wstępnych artykułów politycznych.

Pogodni i baczni, całkowicie ludzcy, czekali tam, ustawieni w malowniczą grupę — jakby już znów za chwilę przeobrazić się mieli w dygocące czarnobiałe zjawy na taśmie tygodnika filmowego.

Pani i pan domu witali przybywających i przedstawiali ich po kolei cudzoziemskim gościom. Komentarz do nazwiska stawał się niekiedy tematem krótkiej rozmowy, [illegible]. Częściej przecież spełzał na niczym.

Gdy stąpający uważnie za trenem swej żony generał Wysokolski dotknął z kolei ręki dostojnika, było mu, jakby ujął dłonią kończynę samej, w grozie i tajemnicach zbliska przeciągającej historii.

Wzruszeniem, którego doznał, przemknął dreszcz dalekiej młodości, gdy taka oto chwila w najśmielszych nawet przewidywaniach nie dała się pomyśleć.

Wysokolski był przeciwieństwem ludzi, w których otoczeniu żył obecnie. Tych ludzi, którym wszystko wydaje się naturalne, którzy przyjmują stan rzeczy, jako coś im należnego.

Dla niego to nie było dane. Dla niego to było naprawdę zdobyte. Dla niego niepodległość była wciąż jeszcze wprawiająca w stan olśnienia egzotyką. On jeden całego dzisiejszego życia doznawał, jako nieustającej legendy.

Bo już w młodości, już od samego dzieciństwa czuł niedogodę i upośledzenie, wynikłe ze stanu niewoli. Ze wstydem wspominał własne słowa, powiedziane małej siostrze, Janusi, w czasie pierwszej z rodzicami podróży „za granicę" do Krakowa. „Dlaczego w Krakowie szyldy są pisane po polsku?" — spytała dziewczynka. „Bo tutaj Moskale są dla Polaków lepsi, niż w Warszawie", pouczył starszy brat. Nieraz to później ze śmiechem w rodzinie opowiadano.

Długo też pamiętał przeczytaną w młodości scenę z dziwnej książki Ludwika Stanisława Licińskiego, zatytułowanej **Pamiętnik Włóczęgi**. Nędzarz, wracający z wygnania do domu, przekrada się nocą sam z Galicji do Królestwa. Zbłądziwszy, nie wiedząc, po której znajduje się stronie kordonu, widzi nagle w ciemności słup drogowskazu. Zapala zapałkę i mówi z ulgą: „Po napisie w obcym języku poznałem moją ojczyznę".

Przez lata nauki, w prosektorium i w szpitalu, w miłości i w pracy — codzienną niewiarogodną wiadomością był dla niego fakt, że nie ma ojczyzny. Żadna myśl, żaden powzięty zamiar nie był wolny od tej skazy.

Gdy inni budowali swe życie obok tej sprawy lub ponad nią, w oczach Wysokolskiego wszystko było tymczasowe i nieistotne, skoro się odbywało w niewoli.

Ten sposób odczuwania wyznaczył jego bieg życia. Każdemu ze „swoich ludzi" było wiadomo, że — zarówno za Królestwa Polskiego, jak za najjaśniejszej Rzeczypospolitej, — Wysokolski znalazł się jako „uczestnik" wszędzie tam, gdzie było trzeba, że od niczego się nie uchylił.

Zaczął od strejku szkolnego w roku dziewięćset piątym, był „zamieszany" w Krwawą Środę Bezdany i Rogów, należał do Strzelca, wyszedł z Oleandrów, siedział w Szczypiornie. Ucierpiał w czasie styczniowego zamachu stanu w roku dziewiętnastym i nie wahał się, po czyjej stanąć stronie w maju roku dwudziestego szóstego.

Takie chwile, jak dzisiejsza, uczuwał nie tylko sobą, ale jakby całą tą swoją biografią. Tkwiła w nim ona, jak ściśnięta sprężyna, jak zwinięta taśma filmowa — w niezapomnianym zwięzłym skrócie.

Mógł to o sobie powiedzieć, że zawarła zaiste wszystko, co było nakazem moralnym czasu. W różnych państwowych publikacjach, ozdobionych jego fotografią w mundurze i z orderami, czytał o sobie, że imię jego związane zostało z „najlepszymi w narodzie".

Teraz, gdy historia ziściła pragnienie całego życia, Wysokolski nie otrzaskał się tak od razu z nową rzeczywistością. Był jeszcze wciąż sobą dawnym, gdy wszystko naokoło było już inne. Nawet poważne odchylenia od przyświecającego kiedyś „ideału" nie przyniosły mu, jak niektórym, goryczy zawodu.

Sam fakt niepodległości, sam termin „suwerenność" — budziły w nim uczucie tryumfu, radości, nieustannego zdziwienia.

Zwycięstwo wydawało mu się raczej nadprzyrodzonym trafem, któremu nie całkiem dowierzał, niż wynikiem zamierzonych działań. Jak gdyby nie po to strzelał w ciemnych ulicach do tropiących go wywiadowców, jakby nie sam skakał w biegu z pędzącego kuriera przed pościgiem rosyjskich żandarmów, jakby to nie on, siedzący na betonie w mrozie i ciemności karceru, opędzał się od wielkich szczurów, których nie widział oczami, tylko czuł ich pazurki, ostrym truchcikiem przebiegające mu po palcach. Jakby to nie on ukazywał się w coraz to innym mieście, niby aktor, zmieniający przebrania, nazwiska i paszporty, z zawsze tylko tym samym „bronkiem" w tylnej kieszeni oberwanych spodni.

Nie rozstał się z nim do końca, miał go ze sobą w Kielcach, nad Stochodem, pod Kostiuchnówką, i nawet w roku dwudziestym pod Kijowem. Dziś jeszcze wisiał w jego gabinecie nad tapczanem na ciemnej makacie, włączony na prawach wyjątkowych do zbioru starej broni polskiej.

Zawiódł go raz tylko w odrodzonej ojczyźnie, gdy przyszło mu w pewną noc styczniową stawić czoło napaści uzbrojonych patriotów innego obrządku.

Wyjątkowo tym razem zaniedbał położyć go na zwykłym miejscu przy łóżku. Wyrwany ze snu błyskiem podsuniętej mu pod oczy latarki, walczył w swej obronie pięściami i nogami z najwyższą zajadłością, aż uczepiony gardła jednego z napastników, zwalił się po nim przez drzwi otwarte na podłogę w przedpokoju. Tam jeszcze borykał się i miotał dłuższą chwilę, póki uderzony kolbą w głowę nie stracił przytomności.

Ta porażka wstydliwa dla dawnego bojowca miała jednak dobrą stronę. Zapomnieniem swym bowiem Wysokolski sprawił, że zamach stanu, w którym nikt nie został zabity, dał się rozsupłać dobrotliwie i uległ wessaniu kosztem ustępstw, które wówczas wydawały się nieznaczne. A młode państwo wybrnęło szczęśliwie z wewnętrznych trudności.

Najdziwniejszą rzeczą w mnóstwie tych świetnych i niedorzecznych czynów było to, że na przekór wszelkiemu nieprawdopodobieństwu nie poszły na marne.

Bo jednak wszystko takie dawniej urywało się klęską. Rok dziewięćdziesiąty czwarty i rok trzydziesty pierwszy i rok sześćdziesiąty trzeci ciężyły jeszcze na pamięci jak zmory. Rzecz tak dla innych zwykła, prosta i codzienna: mieć swoją ojczyznę, — na tym miejscu ziemi wciąż zdawała się nieosiągalna, wciąż nierzeczywista, jak dziecinne złudzenie.

A oto właśnie na ten raz, z chłopięcych zabaw w żołnierzy na Błoniach Krakowskich, ze lwowskich wykładów balistyki, z Oleandrów, Szczypiorny i Magdeburga, wynikła obwarowana przez konstytucję i traktaty Rzeczpospolita.

Już całe dwadzieścia lat niepodległości przetoczyło się nad tą ziemią, a do dziś dnia każda rocznica, każda rewia na Polu Mokotowskim, raut na Zamku czy łowy z Prezydentem w Białowieży budziły w Wysokolskim nieosłabione przez lata wzruszenie. Jego wiara w Polskę miała odcień niedowierzania i zachwytu. Jego upodobanie w paktach z mocarstwami, w międzynarodowych konferencjach i dyplomatycznych targach nie dopuszczało rozważań, czy są chybione lub korzystne, celowe lub zbędne. Wciąż jeszcze dla Wysokolskiego najważniejszym był fakt, że Polska bierze w nich udział.

Na rozum generała ludzie nie byli tego dobra dość świadomi, brali je zbyt łatwo. Nie czuli się tą rzeczą bezcenną, samą najgłębszą moralną istotą niepodległości jakby do niczego zobowiązani.

Jego wrażliwość na tę sprawę nie znajdowała dostatecznego oddźwięku nie tylko wśród dawnych towarzyszy broni, ale nawet w najbliższej rodzinie. Toteż zdarzało mu się pomyśleć niekiedy, że to on sam czekał na to, co się stało, przez z górą sto lat niewoli.

Z uwagi, że pakt o nieagresji z mocarstwem ościennym miał w niedługim czasie wygasnąć, znaczenie dzisiejszej wizyty przybierało wymiary europejskie i dziejowe. Zwykłe „zacieśnienie węzłów przyjaźni, łączącej oba narody", poparte zostało obrazem skonsolidowanej postawy państwowej i niezachwianej mocarstwowej woli.

W mniemaniu generała Wysokolskiego był ten wieczór ponadto imponującym przeglądem elity, pokazem wysokiej kultury narodowej i światowej elegancji, nakazującym respekt, świadczącym, że zastraszyć się nie damy.

Pewne kłopotliwe i niepoważne zajścia, których widownią stała się stolica, dawały do myślenia Wysokolskiemu. Chciał o nich dziś jeszcze pomówić ze starym druhem, ministrem Aramowiczem. Zdawało mu się, że wystarczy przypomnieć wskazania Komendanta, że wystarczy po prostu otworzyć ludziom na to oczy.

Gdy tak myślał, wstydliwa sprawa niejakiej Honoraty, którą chciał przy tym zręcznie i mimochodem z Aramowiczem załatwić, wydawała mu się błaha i łatwa.

ROZDZIAŁ II.

Jak inne nadciągające kobiety i generałowa Wysokolska postała chwilę przed lustrem, by dotknąć palcami włosów, poprawić na ramionach pelerynę z błękitnego lisa i nieprzychylnym spojrzeniem przebiec w dół i w górę po własnej postaci, odbitej w zwierciadle.

Na salę wchodziła niepewnie, spoglądając ku ludziom spod cienkich brwi oczyma zlęknionymi.

Niewątpliwie inne kobiety zaćmiewały ją postawą, darem noszenia stroju, pewnością gestu. Generał jednak należał do ludzi, którzy lubią mieć żonę dla siebie. W jego oczach uroda Agaty nie była na pokaz, ze swym suchym profilem i nagim, cokolwiek w tył cofniętym czołem mogła raczej liczyć na znawców o smaku wyszukanym. Właśnie ten niepozorny wygląd, nieśmiałe usposobienie i pewna niezaradność pociągnęły go ku niej od pierwszej chwili. Rozczulał się jej kruchością fizyczną, którą sobie na ten swój użytek nawet egzagerował. „Kurczątko", „biedulka" — to były jego deminutywy erotyczne. Była wyłącznie zdana na niego, sama „nie dałaby sobie rady" — to wyzwalało w nim najlepsze strony jego męskiej natury.

Nawet zniszczenie, spowodowane przez lata, nie odbierało generałowej tego uroku. Mąż nie godził się, by rozjaśniała sobie włosy, gdy zaczęły siwieć, nie lubił, gdy malowała swe blade usta na kolor róży. Zdawał się dbać, by jego uczucie było miejscem jedynym, w którym mogłaby jeszcze jaśnieć swym dawnym nieuchwytnym powabem. Szara i nikła dla świata w jego oczach rozbłyskała nagle, jakby się dostała w świetlną smugę reflektora.

Generałowa upatrywała w tłumie swej córki, zrozumiała jednak, że znajdzie ją nie łatwo. Goście gęsto wypełniali rozległe sale, przesuwając się i tasując. Przystawali gdziekolwiek, napotkawszy znajomych, w luźnych skupieniach obejmowali pierścieniem jakieś puste i lśniące miejsce posadzki, witali się i rozchodzili, splatali i rozplatali. Można się tu było szukać, jak w lesie.

Wysokolski co krok spotykał dawnych swoich przyjaciół, z wieloma był na ty. Ministrów obecnych i minionych, dwóch byłych premierów, dawnego marszałka Senatu, obecnego wicemarszałka Sejmu, wybitnych wojskowych. Witał głębokim ukłonem ich świetne żony — przeważnie drugie, młode, lepiej odpowiadające sytuacji, niż żony „z tamtych czasów". Większość kobiet miała ramiona i plecy zupełnie odsłonięte. Sztywnym, wąskim trenem przylegały ściśle do tafli posadzki.

Dla jakichś dawno nie widzianych kresowych wojewodów lub dowódców okręgowych, przybyłych z prowincji, znajdował Wysokolski znany swój serdeczny ruch ujęcia przy powitaniu lewą ręką ich łokcia lub ramienia. Uświacki, Chrudosz, Żołna, Ślemień — wszystko dawna, wierna gwardia, dzielne chłopy, „swoi ludzie". Było ich tu jednak jeszcze sporo.

— Witaj, drogi — mówił niskim, ciepłym barytonem, zdolnym każdego zniewolić. — Jak się masz, bracie kochany.

Biorąca w tych spotkaniach udział Agata nie była zdolna sprostać uniesieniom męża. I ona miała tu dawnych znajomych, ludzi swojej młodości. Ale nie było jej przyjemnie widzieć teraz, jak się zmienili.

Od natężonego światła, które leżało na słojach powietrznych, jak gęsta materia, ludzie stawali się zbyt wyraźni, zbyt wypukli, jak w niektórych snach. Przez kamienie ich klejnotów, przez gwiazdy orderów, przez ich oczy, ich zęby, ich paznokcie, przelewał się blask niezmierny w nieustającym lśnieniu i migocie. To samo wystarczało, by ją oszołomić.

Światło trzymało ludzi w ciągłym napięciu rzeczywistości, sztucznej rzeczywistości figur woskowych. Od włosa na głowie do połysku obuwia, każdy strzęp gronostaja czy sobola, każda nitka szychu na sznurach i naszywkach wojskowych, każdy przeplot lamy przez jedwab osnowy, dał się widzieć z osobna, wyraźniejszy, niż w żarze słonecznego południa. Uwięźli jak w magmie, poruszali się sztywno i sennie ruchami roślin głębokowodnych. Byli jakby wciąż gotowi zastygnąć w nieruchomości na samej krawędzi przywidzenia.

Tak niewiarogodny w tej sali wydał się Agacie stary profesor Dzianwa z twarzą zbyt wielką, jakby oglądaną przez lupę, z świecącą nagą czaszką, z wyłupiastymi oczami, pełnymi krwi. I tak zmieniony do niepoznania Jaś Żołna, dziś pułkownik, którego prawicą potrząsał Wysokolski, przytrzymując go zarazem za ramię i zwąc „bratem ukochanym".

Wiedziała też, że w następnej, lustrzanej sali stoi w grupie panów minister Aramowicz — ogromny, opasły, senny. Zobaczyła go od razu. Ale nie patrzyła w tamtą stronę, nie chcąc przyciągać jego uwagi. Liczyła, że może ich nie dostrzeże. Byleby tylko Roman nie zechciał do niego podejść i witać go serdecznie, jak brata. Dość jej było, że barczysty, przekrwiony Dzianwa, który na jej widok zatrzymał się w drzwiach sali i z obrażoną miną złożył jej niedbały ukłon, nadciągał teraz z drugiej strony w towarzystwie małego Oxeńskiego, zajęty z nim rozmową.

Tylko że Dzianwa był stary zawsze, tak go zastała swym życiem, za takiego od początku go uważała. Miał prawo wyglądać, jak wyglądał, nie znała go innym. Przemijające lata nie wiele tu miały do zmienienia.

Ale tych dwu, pułkownika Żołnę i Aramowicza, Agata znała, gdy byli młodzi. Oni stali się takimi w obrębie jej pamięci, nieledwie w jej oczach. Ich starość była bezecna, miała w sobie coś uwłaczającego. Jakby się samochcąc poniżyli, w nią wchodząc. Było za nich wstyd, że tak mogli, że dali coś takiego zrobić ze sobą.

W wielkiej zawiesistej masie cielesnej Aramowicza, stojącego pod ścianą lustrzaną tamtej sali, jakże mogła rozeznać ciemnowłosego młodzieńca, którego przyprowadzał do ich domu za dawnych dni paryskich obecny mąż Katarzyny, Antoni Oxeński. Im to obu zawdzięczała dalekie wędrówki po tamtym nieograniczonym mieście, przenikniecie w świat Maneta i Sisleya i jeszcze rozmowy w małej restauracji przy rue Brea.

I było rzeczą nie do wiary, że rozmiękły od alkoholu i przechwalający się każdym słowem pułkownik Żołna Ciencki był niegdyś tym podobnym do cowboya instruktorem jazdy konnej w Strzelcu na krakowskich Błoniach. To o nim mówiła sobie w księżycowy pewien wieczór jesienny, wracając sama pustym krakowskim Rynkiem, to o nim mówiła sobie pod czarnymi w księżycu arkadami Sukiennic, że jest „cichy i dyszący"...

Byli nie tylko starzy, byli ponadto innymi ludźmi, którzy odeszli od siebie samych w ten nowy świat. Byli w jej oczach zaiste jakby widma. Ale płomienie wszystkich świeczników, jarzące się u sufitu i po ścianach, trzymały ich w natężeniu rzeczywistości, wzmagając jej naoczność, jej męczącą widzialność do ostatnich granic wytrzymania.

Jakby odpowiadając ukrytym jej życzeniom, generał — zamiast do lustrzanej sali z Aramowiczem, — powiódł żonę do zielonej o przyćmionych światłach jadalni, w stronę bufetu. Tutaj, lekko trzymając Agatę za nagi łokieć, torował sobie nią drogę poprzez pierścień gości, okalających stół — każdy z talerzem pod brodą i dygocącym kieliszkiem w dłoni. Podszedłszy do rozstawionych półmisków, najstaranniej wybrał dla niej na talerz naprzód biały złom ryby, powleczonej stężałym majonezem, a później wiotki płatek indyka, od którego się już uchyliła.

Nie chciała też wypić wina, którego trzy złociste kieliszki wśród największych trudności, raz po raz ekskuzując się dźwięcznym wojskowym „pardon" przeniósł z drugiego końca stołu w ich stronę, nie uroniwszy kropli, pułkownik Żołna Ciencki.

Stali w grupie znajomych, a jeszcze Wysokolski, zręcznie żonglując trzymanym talerzem i widelcem, na lewo i na prawo rozdawał swoje „jaksiemasze".

Mówiono o rzeczach, które wszyscy teraz mieli na myśli: efektywy, gotowość, długość granicy. Powtarzano sobie, co działo się na obiedzie, jakie były przemówienia. I jakie wniesiono zdrowia.

— Nic nie szkodzi, — śmiał się pułkownik Żołna Ciencki, — nim zagrają armaty, można jeszcze bawić się w uprzejmości.

— Nie, powiedz naprawdę, co myślisz, — poważnie rzekł Wysokolski. — Kto ma wiedzieć jak nie ty! Będzie wojna?

— Im chodzi tylko o nastraszenie nas i tamtych, nic więcej. To jest po prostu bluff!

Wysokolski bardzo chciał wierzyć, że albo wojny nie będzie albo nieprzyjaciele są słabi.

— Słuchaj, przecież nie jest tak, jak się mówi. Wiadomo, że konieczną rzeczą jest „podtrzymanie ducha", że nie można „szerzyć"... Ale naprawdę, czy jesteś taki pewny?

Żołna przyciszonym głosem opowiadał o jakimś liście zza granicy, raczej nawet o raporcie, otrzymanym w pewnej instytucji.

— Owszem, — zakończył, — mają to wszystko. Ale tylko na papierze.

I powtórzył z mocą, niweczącą wszelką wątpliwość:

— To jest wszystko bluff! bluff! bluff!

Zdobyli jeszcze parę kieliszków wina i popijali, rozmawiając. Agata myślała, że to nie jest poważne, że sobie tak mówią tylko na pociechę. Wiedząc, jaki jest Jaś Żołna, dziwiła się, że Roman mu ufa.

Odwróciwszy głowę, ujrzała nagle najstarszą swoją córkę, Katarzynę Oxeńską. Stała niedaleko i rozmawiała z osobą, ukrytą poza prostokątnym filarem z zielonego stiuku. Niby na widok spotkanego niespodzianie kochanka, Agata uczuła targnięcie w głębi piersi, przejmujące targnięcie lęku i rozkoszy. To była jej córka — ta młoda kobieta, odszczepiona od niej tak zupełnie, większa niż ona i wspaniała. Tym jeszcze obca i dziwna, że raczej podobna do ojca, posługująca się niedbale jego dawnym uśmiechem, jego głosem, jego niektórymi ruchami.

Agata wiedziała, że Katarzyna zaraz będzie się o coś gniewała, że będzie dla kogoś niegrzeczna. I przez chwilę jeszcze nie przywoływała jej do siebie, patrząc. Nie znała tej jej sukni z twardego, czarnego jedwabiu, całej w sztywnych fałdach, jakby nie modnej teraz, gdy noszono suknie raczej obcisłe. Ale Katarzyna nie lekceważyła mody, tylko lubiła ją wyprzedzać przynajmniej o długość sezonu, sprowadzając najświeższe modele.

Mówiąc, Katarzyna śmiała się. I Agata doznała ulgi, że widocznie jest w dobrym humorze, uspokoiła się cokolwiek.

Jakże aż do dziś zależna była od tej drugiej istoty, jak cała uwieszona u jej życia. Tak, uśmiech Katarzyna miała olśniewający, to było najładniejsze w niej od samego dzieciństwa. I była piękna. Za każdym widzeniem uczuć musiała Agata na nowo tę jej piękność, tak dla niej kiedyś bolesną. Nie mogła się do niej przyzwyczaić. Była piękna w sposób, nie dający się niczem odwrócić, piękna bezwiednie — zupełnie czym innym zaprzątnięta. Miała starościecką urodę francuskich miniatur — małą głowę, osadzoną na długiej, szerszej ku dołowi szyi, oczy aż zbyt duże, okrągłe i bronzowe, i usta wystające, małe, jak jedna wiśnia.

Śmiała się teraz zbyt głośno i nieżyczliwie. Jej sposób bycia psuł wrażenie, sprawione przez urodę i strój.

Mężczyzną, który wychylił się wreszcie spoza filaru, okazał się Oxeński. Agata nie mogła jeszcze raz nie pomyśleć, że ten człowiek, zaledwie o dziesięć lat młodszy od jej męża, zabrał Kasię z ich domu jako młodziutką dziewczynę i dopiero w trzy lata po przewlekłej sprawie rozwodowej wziął z nią ślub.

Pomyślała to nie słowami, ale jakby jednym zawierającym to wszystko doznaniem, jakby smakiem czy zapachem tych lat, pełnych żalu i bezsilnego gniewu. Bo Wysokolski, który z Oxeńskim od dawna żył w przyjaźni, patrzył na tę sprawę z niepojętą wprost wyrozumiałością.

Ta rzecz nurtowała ją dalej, gdy tak stała, nie od razu decydując się podejść do córki. Łączyło się to z niedobrym uczuciem dla męża. Gdy teraz przed wyjazdem z domu Agata dwukrotnie mówiła przez telefon z Dziuniem Oxeńskim, mąż traktował żartobliwie jej niepokój, przynaglając tylko, by się prędzej ubierała. Nie był imaginacyjny, nigdy nie przewidywał nic złego.

Tak samo był spokojny wówczas, choć ona go ostrzegała. Gdy wreszcie przekonał się, że miała słuszność, już było za późno. A i wtedy dość łatwo mu przebaczył. Miał słabość do tego człowieka, miał w ogóle miękkie serce ten dawny srogi bojowiec, ten surowy, zazdrosny mąż. I przez zbytek zaufania sam po prostu wydał w ręce Oxeńskiego ich ukochaną dziecynę. Podobna beztroska u rodzonego ojca była w oczach Agaty czymś niepojętym, wyglądała doprawdy na jakąś zmowę z tamtym człowiekiem. Ale czy miała prawo tak myśleć?

Pustka w domu po odejściu Katarzyny i Oxeńskiego była straszliwa, zwłaszcza, że od razu wyjechali z Warszawy — naprzód do Kielc, później aż do Grodna. Dziunio zamieszkał z nimi od początku. A w dniu ich ślubu był już po maturze.

Zanim został prokuratorem, Oxeński był przez szereg lat obrońcą politycznym. I to już trudniej przyszło Wysokolskiemu darować zięciowi. W tym czasie dochodziło między nimi do gorących sporów. Prawda, że Oxeński poszedł tylko w ślady swych starszych kolegów i mistrzów, którzy jeszcze w okresie sprzed wojny światowej kształtowali jego górną młodość. Według Wysokolskiego jednak ważne było to, że tamci bronili przestępców politycznych przed sądami rosyjskimi, a Oxeński brał stronę wrogów Państwa wobec swoich. Dopiero gdy Oxeński przed niedawnym czasem przeszedł na służbę rządową, ustały te spory i nic nie zakłócało starej jego przyjaźni z generałem.

Agata nie odrywała oczu od córki, która stała wciąż w tym samym miejscu, na tle lśniącej malachitowej ściany. Mówiła żywo, już znowu teraz poważna i chmurna. Oxeński wydał się Agacie bardzo zmęczony, upadający ze zmęczenia. Można było pomyśleć, że wcale słów żony nie słucha, jakby nie do niego mówiła. I wszystko nagle stało się dla Agaty zrozumiałe z chwilą, gdy spoza filaru wysunął się za Oxeńskim dawny aplikant w jego kancelarii, młody adwokat, Baraz. To dla niego były przeznaczone te jakieś złe słowa Kasi, zarówno jak ten jeden jasny uśmiech. Agata tak pewna była od początku jego obecności, że zdziwiło ją, gdy pierwej zza filaru ukazał się Oxeński, nie on.

W tej chwili Oxeńscy dostrzegli Agatę i od razu znalazła się w ich gronie. Katarzyna błysnęła znów jednym krótkim, świetnym uśmiechem. Ale ten uśmiech był dla ojca.

— Jesteś dziś **en beauté**, tatuńciu, — powiedziała. I lekko się doń przytuliła.

Rozjaśniony Oxeński też Wysokolskiego witał serdecznie, nazywając go „teściem szanownym" na przemian i Jaspisem. Na jego troskliwe zapytanie przyznał, że jakoś nie dobrze czuł się przez cały dzień. Tak już teraz Wysokolski bliższy był im obojgu, niż Agata.

Poczuła surowe na sobie spojrzenie córki. Kasia obejrzała ją od stóp do głowy. Szybkim ruchem rozsunęła na jej ramionach futrzaną kapę.

— Czego się tak zatulasz? — powiedziała szorstko. — Masz przecież zupełnie dobrą szyję.

Teraz musiała Agata z kolei podać rękę Barazowi. Stał tuż obok Kasi i wydał się jej odstręczający. Oxeński, choć zmieniony przez lata, był wciąż jeszcze mężem godnym takiej młodej żony. Ale Baraz — ze swą dziwną, upartą twarzą, z oczami bez brwi i wystającymi szczękami, ze swą jakby żelazną ossaturą, to był człowiek, z którym przed rokiem zaręczyła się Sonka.

Agata miała tę ambicję, że córki darzą ją zaufaniem, że wie o nich wszystko. Jednak i zaręczyny Sonki i późniejsze zerwanie były dla niej nieoczekiwane i niezrozumiałe. Zarówno, jak ciągłe pokazywanie się Oxeńskich w jego towarzystwie.

Bała się dla Sonki tego człowieka, bała się, że jeszcze w jakiś sposób powróci w jej życie.

ROZDZIAŁ III.

Wypełniwszy do końca swą rolę przy księdze obecności, młody Oxeński, znużony i nie wesoły, wszedł za innymi na górę, żeby coś zjeść. W lustrzanych ścianach holu nad schodami nie zastał już nikogo, ceremonia powitań i prezentacji była skończona.

Pierwszy napór tłumu do wielkiej sali, w której jednym rogu zebrali się dostojnicy, słabł stopniowo. Wolna sfera posadzki, oddzielająca „patrzonych" od patrzących, wydźwigała ich niejako ponad gości zwykłych, stanowiła opartą na milczącej wzajemnej umowie scenę teatru.

Reszta cudzoziemców, stanowiąca przybocznych gościa, trzymała się osobno, chłodno i badawczo patrząc w obcy tłum. Ich znane nazwiska, ich ciemne granatowe ubiory wojskowego kroju, były przedmiotem dyskretnych rozważań i uwag. Edmund sprawdził, że nikt z obecnych nie usiłuje naruszyć tego odosobnienia.

Przedostanie się do sali jadalnej nie poszło mu gładko. Zaraz przy wejściu zatrzymała go starsza, otyła pani, żona konsula honorowego, Sielickiego. Jej suknia koronkowa całkowicie wypełniona była jej ciałem. Rozpytywała, czy nie wie, co mówiono przy obiedzie i kto mianowicie był zaproszony. A także, dlaczego nie widać cudzoziemskiej małżonki.

Była ironiczna, mówiła z przekąsem, nic niewątpliwie nie mogło jej zadziwić. Co do małżonki, Edmund wyjaśnił, że owszem, że brała udział w obiedzie, ale na raucie nie została.

— Z powodu zmęczenia czy może z powodu migreny, — dodał jeszcze, chcąc być zajmującym.

Mówiąc patrzył nie na nią, tylko na ogromnych rozmiarów brylant, który jak kropla ognia przelewał się i mienił wśród jej dużych, czarnych i lśniących piersi. Wisiał spuszczony od szyi na cienkim łańcuszku, był jedynym klejnotem, jaki miała na sobie.

Patrząc myślał zarazem ze złością, że aż tak go obeszło niedawne spotkanie w przedpokoju. Szło mu o tę kobietę, której podał upuszczoną rękawiczkę i która dziękując, nawet nie podniosła na niego oczu. Czy mogła go nie poznać, czy rzeczywiście nie dostrzegła go wcale? Nie sądziła chyba, że rękawiczka podnosi się do niej z ziemi sama. Czy jej pogarda dla ludzi sięga już tak daleko?

Może udała, że go nie widzi, jak w czasach, gdy jeszcze ukrywała, kim jest dla niej. Ale poco, skoro już wreszcie wyszła za mąż i przecież nic jej nie grozi.

Pani konsulowa, dawszy mu do zrozumienia, że nie bierze się, jak inni tutaj, na słodkie słówka, bo wie, że to są tylko zwykłe dusery dyplomatyczne, zwolna rozwiała mu się sprzed

oczu, jak mgła. Ale zaraz dwie inne panie zastąpiły mu drogę. Starsza pytała, czy wie, jaki jest na jutro program wizyty. I czy to prawda, że wojna jest tam już zdecydowana.

Edmund przyswoił sobie już całkowicie tutejszy konwenans, znał wszystkie chwyty zawodowego sposobu bycia. Sam to nazywał deformacją profesjonalną. W tych progach był jak swój. Jego młodociany **charme** ujmował starsze kobiety. Sposób, w jaki całował ich wąskie, twarde dłonie, był bez zarzutu. Edmund wypełniał najdokładniej cały gest obrzędu, nacechowany niewysłowionym wprost szacunkiem, w pochyleniu głowy cały oddawał się niejako w ich przemoc łaskawą, wargami natomiast zaledwie muskał ich suchą, starą skórę.

Nie wychodził ze swego stylu, którym była całkowita pasywność. Był grzeczny, ale był poważny. Nie mając nic do powiedzenia, z głęboką uwagą słuchał zapytań, które godziły weń zewsząd w momentach bardziej naelektryzowanych. I wymykał się jak najukładniej, dosłownie uchylał się od odpowiedzialności, z rozmowy nie zostawiając nikomu na pamiątkę żadnej treści. Gdy druga z pań, cudzoziemka, żona jednego z pomniejszych ministrów pełnomocnych, zaryzykowała dość na ową chwilę drażliwe przypuszczenie, wyznał zasmucony ściśle to, co rano było na ten temat w urzędowej prasie.

Tamta z przedsionka nie dawała mu spokoju. „Cóż to za przeczulenie, psiakrew, jakbym był dzieckiem", pomyślał dwuznacznie. Ma dziś na sobie suknię po prostu białą — czy to nie przesada? Jest wciąż młoda, jest cienka i wysoka. Ma suknię, w której wygląda, jak pokryta szronem. Jest zlodowaciała...

Nie, nie miał zamiaru jej szukać. Nie tylko nie wiedział wcale, że jest na raucie, ale nie miał pojęcia, że w ogóle jest w kraju. Czy przeszło jej przez myśl, jaki wstrząs może wywołać w nim jej widok — tak nieoczekiwany! Mogła mu przecież dać znać, wystarczyło wziąć do ręki tubę telefonu, zadzwonić do Ministerstwa. Nie, nie myślał jej szukać, myślał raczej, żeby wreszcie coś zjeść.

W przejściu przystanął, ujrzawszy starego Dzianwę, i złożył ceremonialny ukłon, należny wiekowi i zasłudze profesora.

Nie rozjaśnił swej młodej twarzy, gotów przejść dalej, nie zaprzątając mu głowy swą osobą. Jednakże Dzianwa widać też pragnął o coś go zapytać, przyzywał go bowiem ku sobie gestem, wyrażającym największą życzliwość.

Edmund z pochyloną głową, w postawie pełnej szacunku, ujął podaną sobie rękę starca.

— Czegóż to chcieli ci studenci dzisiaj? — spytał Dzianwa.

Edmund znów miał przekonanie, że nie wypada mu wiedzieć o tym zbyt dokładnie. Podobno pragnęli przypomnieć społeczeństwu, że polscy studenci w Gdańsku są źle traktowani.

— Otóż to! — z żywością podchwycił profesor. — Właśnie tak, jak oni sami traktują tutaj swych niearyjskich kolegów.

— Oho! — pomyślał Edmund. W tej drażliwej materii nie miał naprawdę nic do powiedzenia.

— Młodzieńcze, ma pan minę tak zażenowaną, jakby i pan był tu nie bez winy.

— Pan profesor zapomina, — łagodnie rzekł Edmund, — że przecież od dawna nie jestem już studentem.

— Im się po prostu nie podoba obecny kurs i — co właśnie jest zdumiewające — chcą wojny z tymi, którym zawdzięczają własną ideę, rzecz najcenniejszą, własną rację istnienia. Jak pan to rozumie? Czy pan w ogóle to rozumie? Czy pan się starał to zrozumieć?

Edmund nie starał się tego zrozumieć, nie bardzo się nad tym zastanawiał.

— Jak to, pan się nie zastanawiał? Przecież oni dziś wołali: „precz z...!" To już chyba powinno pana obchodzić. Nie?

Edmund się zaczerwienił, tak to było nietaktowne tutaj, pod tym dachem. Profesor wyraźnie powiedział całe nazwisko, prawie nie zniżając głosu.

— To ten radykalny odłam, — bagatelizował. — Jest ich niewielu, a robią dużo hałasu.

Jednak profesor miał w sobie materiał uczuciowy do zasadniczej dyskusji. I zupełnie w porę ukazała się oczom syna szanowna postać prokuratora Oxeńskiego. Podszedł do nich i — polubowny, życzliwy, uważnie nasłuchujący — dał się od razu włączyć w rozmowę.

Dzianwie nie dawało spokoju, że ta młodzież po prostu w oczach, po prostu w jego własnych rękach głupieje mu z dnia na dzień.

— Tak, to jest kłopotliwe, — zgodził się prokurator. — Ale cóż. Argumenty rozsądku są bezsilne, gdy działa dynamika tych lat.

Edmund bacznie popatrzył na ojca. Nie, nie wyglądał źle, chociaż pokasływał, mówiąc. I nagle pomyślał: „Gdyby tak weszła teraz tu do sali... Czy przywitają się, jak zwykli znajomi?" Drżał na tę myśl i zarazem jakby tego pragnął. „Może wejść w każdej chwili... Co zrobi ojciec, gdy ją zobaczy?" Wiele minęło lat, odkąd nie widział ich razem.

— A jednak to się traktuje zbyt pobłażliwie, — gniewał się Dzianwa. — Tymczasem te rzeczy słyszy ulica, to się szerzy. To bardzo łatwo przenika. To sięga nawet do góry, tam, gdzie rozsądek powinien by chyba obowiązywać. Studenci wznoszą okrzyki nierozumne...

Oxeński wyraził opinię, że na ulicy krzyczeć można tylko głupstwa.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

MIECZYSŁAW JASTRUN

U przyjaciół

Dawna prawda o tym, że aby zrozumieć poetę, trzeba zwiedzić jego kraj, stała się dla mnie żywym doświadczeniem, gdy w mroźnym grudniowym powietrzu szedłem ulicami starej Moskwy. Jej architektura: żółte domy i pałace ozdobione kolumnami, jej cerkwie teraz przyprószone śniegiem, mury Kremla wspaniałe i surowe, z którymi tak zgodnie harmonizuje mauzoleum Lenina, wszystko to znałem już z opisów i fotografii, ale dopiero pobyt cielesny pozwala poczuć smak, treść uroku związanego z tym miastem i krajem.

Jadąc tu myślałem o Rosji z lat rewolucji, o Rosji walczącej dziś z faszyzmem hitlerowskim, a oto pierwsze moje wrażenia były raczej natury literackiej, raczej sprawdzałem tylko to, co najsilniej zapadło mi w pamięć z poezji i prozy rosyjskiej i to, co pozostaje w jakimś związku ze śladami polskimi w dawnej Moskwie. Patrząc na stare domy, dworki i pałace, oglądając pyszne, złocone wnętrza, teraz dopiero zaczynam widzieć poszczególne sceny z „Wojny i pokoju" Lwa Tołstoja, w śnieżycy przywołuję na pamięć niektóre strofy z wierszy Błoka, gdy patrzę na konstrukcję metra, myślę o Majakowskim; jakieś zabłąkane zwrotki Puszkina ożywają w pamięci na którejś z uliczek. Tu w tej cerkwi brał ślub ze swoją „Madonną", tu na tym placu stoi jego pomnik. Myślę, patrząc na pomnik poety, że Puszkin, podobnie jak Mickiewicz, nie miał szczęścia do wizerunków monumentalnych; ani za życia, ani po śmierci dwóch największych poetów Słowiańszczyzny „głaz nie był namiętny". Lecz mimo to, teraz gdy patrzę na tego kamiennego jegomościa w stroju dandysa, zwycięża poezja. Czytam wyryte na pomniku słowa z horacjańskiego wiersza Puszkina „Ja pamiatnik wozdwig"... i usiłuję nadać im brzmienie polskie:

I naród długo mnie zachowa w sercu żywym,
Żem lirą swą szlachetnych uczuć budził tony,
Żem wolność sławił sam w swój wiek nielitościwy
I wołałem o litość dla zwyciężonych.

I ogarnia mnie nagłe wzruszenie. Myślę w tej chwili nie tylko o Puszkinie, myślę o Mickiewiczu. Jest rok 1825. Koniec grudnia.

Powstanie dekabrystów. Rylejew zawisnął na szubienicy, car Mikołaj wstępuje na tron okrwawiony. Rok 1827. Mickiewicz w domu Polewoja poznaje Puszkina. Obaj prawie rówieśnicy, obaj zbuntowani przeciw tyranii swego wieku, obaj — wyznawcy romantyzmu.

W olbrzymiej bibliotece im. Lenina śród pamiątek polskich — skromna książeczka, tomik poezji Mickiewicza z r. 1822. Dedykacja własnoręczna poety: **P. Wiaziemskiemu w dowód szacunku — Adam Mickiewicz.** Książę Wiaziemski, przyjaciel Polaków, tłumacz poezyj Mickiewicza, znakomity erudyta, pisał we wstępie do swego przekładu prozą „Sonetów krymskich": „Mickiewicz należy do małej liczby wybranych, mających szczęśliwe prawo przedstawiać sławę literatury swoich narodów. Zdaje się, można śmiało powiedzieć, że należy się mu zaszczytne miejsce we współczesnym pokoleniu poetów". Bywał Mickiewicz w salonach księstwa Wiaziemskich, bywał u Wołkońskiej i poświęcił jej wiersz „Na pokój grecki". Szukam teraz po blisko stu dwudziestu latach śladów poety polskiego w nowej Moskwie, stolicy Związku Radzieckiego, wezbranej rytmem wielkiego życia, gdzie w potężnych fabrykach lud sowiecki kuje broń, która zmieni obraz świata.

„Konrad Wallenrod", choć ukrytym ostrzem zwrócony przeciw caratowi, dzisiaj brzmi dla nas jak pobudka do walki z Niemcami. Odwróciła się karta historii, dając romantycznemu poematowi o walce z wrogiem, poematowi o miłości ojczyzny nowe dosłowne znaczenie.

W starym dworze, który Lew Tołstoj opisał w „Wojnie i pokoju", jarzą się drwa w kominku. Spotkanie pisarzy polskich z pisarzami radzieckimi. Poeta Paweł Antokolski odczytuje swój wiersz o Puszkinie i Mickiewiczu. Przyjaźń obu poetów przetrwała ich życie, trwa dalej nie tylko w ich wiecznie żywym słowie; mimo zmienionego zupełnie tła dziejowego pozostaje czystym przykładem przyjaźni ludzkiej, zwyciężając wrogie, dzielące człowieka od człowieka siły. Mickiewicz i Puszkin mogli łączyć swe dłonie uściskiem przyjaźni tylko dlatego, że:

Ich dusze wyższe, nad ziemne przeszkody
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Choć je na wieki rozdzielił nurt wody,
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.

Nasze skromne związki — bo uprawnia nas do tego porównania to tylko, że piszemy mową Mickiewicza i mową Puszkina — choć tak serdeczne, mają silną podstawę także w racji państwowej naszych narodów. Wiemy o tym dobrze i wiedzą o tym pisarze radzieccy. Tym pełniejsze i prawdziwsze są nasze rozmowy. Czytamy nasze wiersze, słyszymy je w przekładach Antokolskiego i Selwińskiego, odczytujemy fragment z Majakowskiego w tłumaczeniu polskim i słuchamy wierszy naszych kolegów Rosjan. Prozę polską reprezentuje urywek z powieści Boguszewskiej i Kornackiego w tłumaczeniu rosyjskim. W zwięzłym zarysie zapoznajemy pisarzy sowieckich z dziejami literatury podziemnej Warszawy w latach okupacji niemieckiej. Rozmawiamy o Borysie Pastiernaku. Pisarze sowieccy zdają sobie sprawę ze znaczenia tego poety w liryce rosyjskiej lat przedwojennych, zarzucają mu jednak dość zgodnie, że nie rozumie go czytelnik, nie przywykły do skomplikowanej formy wyrazu poetyckiego. Tak mówią literaci... Ciekawą natomiast jest rzeczą, że młodzież żywo odczuwa poezję Pastiernaka; obok Jesienina i Majakowskiego najczęściej pada to nazwisko. Nie tylko dla Rosjan, dla nas również nazwiska te są pełne treści, poezja bowiem nie ma granic — zwycięża czas i przestrzeń. Tu, w Moskwie, młoda aspirantka uniwersytetu pisze pracę o Słowackim. Ta Rosjanka, niedawna komsomołka, orientuje się dobrze w zawiłej problematyce, związanej z twórczością poety polskiego.

Bo też literatura polska nie jest obca czytelnikowi sowieckiemu, zwłaszcza powieść. Z powieściopisarzy bliskiego okresu Wanda Wasilewska cieszy się największą popularnością w szerokich masach czytelniczych narodów sowieckich. Klasyków prozy polskiej znają Rosjanie z wielu przekładów. Poezja polska, zwłaszcza nowszych czasów, mniej jest znana w Sowietach. Ale właśnie otrzymaliśmy z „Goslitizdatu" propozycję wydania przez to państwowe wydawnictwo literackie obszernej antologii współczesnej poezji polskiej, obok wyboru z klasyków. Dyrektor instytucji, znawca i miłośnik poezji, opowiada o swojej przyjaźni z Majakowskim, — nad biurkiem dyrektora, w jego gabinecie, wisi fotografia-portret poety rewolucji październikowej — pokazuje nam rzadkie wydania Jesienina oraz przekłady z Mickiewicza. O zasługach Tuwima, jako nieprześcignionego tłumacza, zwłaszcza Puszkina, mówią literaci rosyjscy z uznaniem. Rosjanie są narodem, rozmiłowanym w poezji; tłumaczą dużo, zwłaszcza z literatur słowiańskich. Przypominamy fakt, że w okresie najwyższego rozkwitu naszej literatury, z katedry literatur słowiańskich w Paryżu przemawiał poeta polski. Nie od dzisiaj śledzimy pilnie każdy ważniejszy objaw literatury rosyjskiej. Chcemy wiedzieć prawdę o człowieku radzieckim. Co czują, co myślą dzisiaj na obszarach ogromnego państwa narody Związku, toczące wojnę obronną z barbarzyńcami Zachodu?

Kiedy czyta się wiersze poetów rosyjskich o wojnie, uderza nawskroś ludzka postawa wobec jej spraw nieludzkich. Z najmłodszych pisarzy autor małego zbiorku wierszy, poeta-żołnierz Gudzenko dał może najprawdziwszy w poezji sowieckiej wyraz doświadczeniom wojennym pokolenia. Gudzenko zrywa odważnie z szablonem, tym najniebezpieczniejszym wrogiem poezji. Żywy, czujący człowiek przemawia z kart tomiku. „To — jak mówi poeta w jednym z wierszy — w bitwach zrodzony, przepojony krwią i potem najprawdziwszy rosyjski humanizm".

O straszliwości faktu, że na cierpienia, rany, kalectwo i śmierć wystawione są podczas tej wojny także dzieci, mówią wiersze Pastiernaka i Achmatowej. Pragnienie zemsty jest tu tylko naturalnym odruchem wobec ogromu zbrodni, popełnionych przez wroga.

Rozumiemy tę postawę. Wiemy, że musimy zwyciężyć faszyzm, bo faszyzm rozrywa i niszczy braterstwo ludzkie — i wierzymy, że poezja może przyczynić się do usunięcia poczucia obcości, które dzieli narody. „Obecnie po straszliwym zaćmieniu słońca, przyniesionym przez faszyzm, ludzkości trzeba dobroczynnnego odświeżającego działania sztuki — stwierdza Erenburg. — Nastaje czas gwałtowników dobra i sprawiedliwości". Bohaterom poświęca się niejeden utwór, nie zawsze udatny, ale sam kult bohaterstwa nie jest tu czymś sztucznym. Stojący w metro kamienny posąg młodej partyzantki ma rysy czekającej tu na przyjście pociągu elektrycznego dziewczyny, ma jej wdzięk naturalny i prostotę. Heroizm w walce i w pracy jest strawą codzienną narodów sowieckich. Jakże ma temu kolosalnemu napięciu nadążyć mowa poetycka? Wyraża się ono w zamiłowaniu do gigantyczności i dążeniu do monumentalności w architekturze. Projekt Pałacu Rad z kolosalną figurą Lenina na szczycie, biblioteka jego imienia o surowym kształcie granitowej świątyni, metro o niebywałym rozmachu konstrukcji z posągami symbolizującymi napięcie pracy i walki, są niezmiernie charakterystyczne dla tych tendencyj i pod tym względem wymowniejsze niż literatura, w której Majakowski nie znalazł następcy.

Tym silniej, tym prawdziwiej na tle bijących w oczy pomników potęgi i woli występuje niewymuszona prostota i serdeczność Rosjan. Wierny, że ściskając nam przyjaźnie dłonie, czynią to naprawdę. I my, kiedy żegnając się z pisarzami sowieckimi, zapraszamy ich do naszego kraju słowami: „Do widzenia w Warszawie!", „Do widzenia w Krakowie!", czujemy, że słowa te odzyskują w naszych ustach nie zatarte nawykiem znaczenie.

JULIAN PRZYBOŚ

Do robotnicy

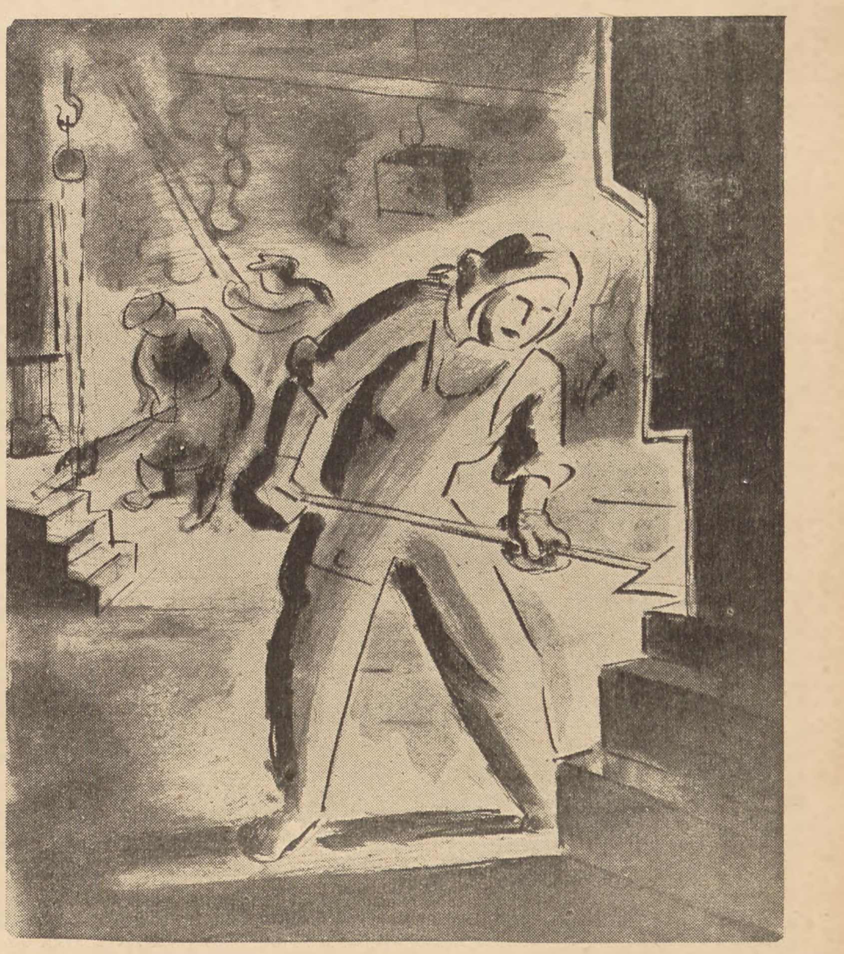
W hali fabrycznej, aleją z rąk do rąk rosnącego żelaza,
rosnącego do ostrego szczytu:
do pocisku,
szedłem, jakbym rozstrzygał, spawając marzenie i siłę,
jak nadać im wspólny kształt
broni.

Liczyłem:
pięć młotów, ciężkich jak pięć lat,
w jednej chwili
dokonało na mnie
zamachu czasu:
sprawdzały moje dzieło poetyckie ręce robotników i robotnic.

Rytmem tysiąca ramion najszybciej obrotnych
jak wzruszę swoje ramię?
Pęd maszyn moją wolę przesilił.

Pozdrawiam cię, palaczko, szara gwiazdo iskier!
Twoja dłoń, odjęta od żaru, moją od pióra znalazła,
abym pisał wszystkimi uściśniętymi rękami.

Moskwa, grudzień 1944



W moskiewskiej fabryce samochodów „ZIS" *rys. J. Zaruba*

JERZY PUTRAMENT

Warszawa w lutym

Zadymka. Porywisty wiatr wypada gdzieś z zachodu i północy, uderza w rozpędzonego „Willysa", przenika na wylot, cały przesycony drobnym, wilgotnawym śniegiem. Jest zimno, mokro, obrzydliwie. Z zamieci wyskakują zamazane kontury domów, dalekie drzewa majaczą niepewnie, jakby widziane oczami lichych surrealistów. Siedzę skurczony, z uporem, acz bez skutku, usiłując osłonić kołnierzem kawałek policzka przed mordobiciem wiatru.

Droga wije się serpentynami, przeskakuje przez parowy, wpada do śmiesznie i uroczo staroświeckich miasteczek. I cała — od Krakowa aż po Warszawę — jest poznaczona gromadami ludzi.

Idą, w tę zadymkę, w błoto i śnieg, pieszo, z tobołami, walizami, węzełkami. Starzy, młodzi. Najszczęśliwsi ulokowali się w autach, siedzą rzędem przytuleni do siebie na „Studebakerach", czepiają się góry worków na „połutorkach". Inni powłazili po dwudziestu na wozy. Inni z wysiłkiem pedałują na rowerach. Ale najwięcej jest pieszych.

Przechodzą przeze mnie wszystkie możliwe uczucia, gdy patrzę na ten potok ludzki. Zniecierpliwienie — że tarasują i bez tego trudną drogę. Litość dochodząca aż do wściekłości: po co tam idą? do czego? na co? Jak będą mieszkać w tych spalonych kamienicach? Kto ich tam nakarmi? Kto ich ogrzeje? Ilu z nich nie dojdzie — wygłodzonych, zmarzniętych, wymęczonych piekielną drogą aż do czerwonych iskier w oczach. A potem, już za Miechowem, za Chęcinami, Kielcami, już o zmierzchu, już w granatowych lasach, pod Zagnańskiem, zaczynam stwierdzać w sobie tylko absurdalny i niemądry podziw dla wytrzymałości gatunku ludzkiego i mocy instynktu, pchającego człowieka do ojcowizny. Nie do mienia, nie do domu. Po prostu do punktu na kuli ziemskiej, do abstrakcyjnego dziś pojęcia **Warszawa.**

WIDMA

Była już noc, gdyśmy wjeżdżali szosą radomską do Warszawy. Wysokie bloki domów czerniały w ciemności i można było uwierzyć, że są to domy, a nie widma, nie trupy. Ale wystarczyło, by zezujące światło samochodu otarło się o nie, by właśnie szkieletowość, właśnie trupiość ich rzuciła się w oczy. Nie wiem, czemu natrętnie przypomniało mi się Równe sprzed roku i mogiły na ulicy Białej rozkopane aż do gęsto ubitych kondygnacyj zleżałych trupów. Te domy miały — może ten kolor, może te sińce osmalonych okien, może ten sam dystans, który zachowując zewnętrzne, formalne podobieństwo człowieka i trupa, tak ich od siebie oddala, który jest najdotkliwszym atrybutem śmierci. Właśnie dlatego boimy się trupa, że przypomina nam człowieka.

Samochód się zepsuł, trzeba go było ciągnąć. Przedstawiciel najdzikszej odmiany ludzkiej, szofer, beztrosko rzucił drugiemu:

— Idź, poszukaj koło domu, kawał druta się znajdzie.

Istotnie, kawał drutu się znalazł. Może przewód tramwajowy, może kabel. Wyrwano z trupa miasta kawał ścięgna i żywa maszyna ruszyła.

Oto czym jest teraz Warszawa. Nie miastem, nie ziemią orną — śmietnikiem, w którym grzebią przechodnie i zabierają potrzebne im strzępy.

Od pierwszego dnia wolności runęła na Warszawę tłuszcza ludzka. Większość szła do swoich domów ratować to co ocalało. Ale mniejszość, aktywniejsza, bardziej przedsiębiorcza i ruchliwa, szła na zdobycz. Grzebali się w rumowiskach cegły, przekopywali piwnice, wylatywali w powietrze na minach. W ocalałych składach rozkradali meble, zapasy, maszyny. Znaleźli się i tacy, którzy nawet nie zabierali, którzy po prostu niszczyli to, czego nie mogli unieść. Potworzyły się bandy operujące w podziemiach i ruinach jak w puszczy. Niektórzy z fantazją zostawiali pokwitowania w obrabowanych schowkach. Na zgliszczach miasta panoszy się dzicz wojenna.

Jechaliśmy ulicami, które w nocy łatwiej poznać, niż w dzień. Aleje, Nowy Świat, Książęca, ogromne przęsła mostu Poniatowskiego, wątły most pontonowy, Praga.

I tu, na tej biednej, brudnej, pocharatanej Pradze, z lejami na ulicach, z dyktą zamiast szyb, ze zwaliskami rozbitych dworców i fabryk, poznaje się, jak życie, choćby najlichsze, jest wyższe od śmierci.

WYPRAWA NA STARE MIASTO

Dojeżdża się do Placu Zamkowego. Zygmunt leży na bruku. Jego zzieleniała postać, nieoczekiwanie duża zbliska, traci na ziemi swoją hieratyczną, wystylizowaną pozę, staje się zwyczajna, ludzka. Tylko głowa, wisząca w powietrzu, podparta wąskim ramieniem, budzi jakieś zakłopotanie; chciałoby się podłożyć pod nią poduszkę. Miecz i krzyż znikły z pustych dłoni, ale posąg jest prawie nietknięty. I kolumna, rozbita na części, da się łatwo ustawić z powrotem.

Ale Zamek — to już nawet nie wypalone ściany, to tylko potłuczona cegła.

Barykada. Coś jakby ścieżka wiedzie do niej. Trzeba chwytać się muru, balansować, wspinać się. Cała uliczka — to jakaś górska perć, obramowana dwiema ścianami wypalonych na żużel murów. Ścieżka biegnie zygzakiem, wspina się na pagórek bitej cegły, spada w dół, omija leje, przechodzi przez rowy. W pewnym miejscu odchyla się w lewo: z prawa olbrzymie głazy, polerowane z jednej strony na jasno-zielono. Tylko te szczątki kafli przypominają: tu stała katedra świętego Jana.

Oto i rynek — widmo. Rynek Starego Miasta. Z lewa i przed nami frontony kamienic stoją z pustymi oczodołami, z pustką za sobą, z prawa — i tego nie ma. Tylko pięciometrowe kurhany gruzów. Na placu trzy lub pięć niewypałów. Już zardzewiałe, pękate i duże, leżą czekając, aż któryś z przedsiębiorczych dwunastolatków zabierze się do majstrowania nad nimi, wybierając ten pośpieszny środek lokomocji na tamten świat.



Kolumna Zygmunta w drodze do Warszawy

Kamienica Baryczków. Kto to mówił, że ocalała? Sklepiona sień istnieje, ale nad nią i za nią nic nie ma. W sieni pierze i papierzyska. Szczątki tablicy marmurowej. W piwnicy — jak uprzejmie informują autochtoni — leżą jeszcze trupy.

Obok dom niespalony. Potłuczony wstrząsami, uszkodzony jakimś pociskiem, bez szczątka szyby, ze szczątkami ram okiennych. Ale niespalony. Więc — po warszawsku licząc — cały.

Kamienne schodki. Można na nie tylko patrzeć zdaleka. Ogromne kratery lejów zamknęły uliczkę. Z prawej strony kopnięta wybuchem ściana pochyliła się, niemal dotykając przeciwległego domu i zastygła w połowie drogi, nie runęła.

Z największej sterty gruzów, z czerniejącej w zwaliskach pieczary wyłazi na czworakach człowiek, ciągnący za sobą worek. Poszukiwacz skarbów, czy niedobitek?

OKRUCHY ŻYCIA

Odwracają się nasze pojęcia. Pejzaż jest tak niemiejski, tak nieludzki, że nie ruiny przyciągają uwagę, ale żywe pokoje. Na rynku Starego Miasta bowiem, na początku lutego są mieszkańcy. Obok Baryczków w parterowej izbie, gnieździ się już pierwsza rodzina. Postawili piecyk, z dykty i odłamków szkła zrobili okno i mieszkają.

Jeżdżę ulicami i tego właśnie szukam: szczątków życia. Na Siennej znalazłem dom, który uratowała bomba. Cały front jest rozwalony i dlatego ocalały oficyny. Niemcy nie spalili. Uważali, że posesja spłaciła już swój kontyngent zniszczenia.

Nauczyliśmy się patologii domów. Kule, pociski — to drobne schorzenia. Ciężkie pociski i bomby — to kalectwa, przyprawiające często o śmierć. Ale najstraszniejsze — jak epidemia tyfusu czy cholery — to ogień. Warszawę zniszczył ogień. Bombardowanie nie zdziała tyle, co zorganizowane, planowe palenie. Warszawa — to nie wieś ze słomianymi strzechami, której wystarczy jedna iskra. Prawie każda kamienica, to oddzielna komórka, odgrodzona od reszty — „samowystarczalna" dla pożaru. Trzeba było od nowa podpalać każdy dom.

Niszczenie to także praca. Ile czasu, wysiłku, siły roboczej, materiałów palnych zużyć musieli Niemcy, aby tak regularnie, dom po domu, wypalić milionowe miasto. A przecież się nie zawahali, nie cofnęli przed dokonaniem tej „misji dziejowej" narodu niemieckiego.

Po przejechaniu przez pięćdziesiąt wypalonych ulic trafiłem na Aleje Jerozolimskie. I tutaj, naprzeciw kupy żelastwa i miału betonowego (Dworzec Główny) — dostąpiłem najsilniejszego przeżycia warszawskiego.

Dom niespalony! I znowu. Znowu. Coś z tuzin wielkich domów — częściowo bez szyb, tu i ówdzie dziobniętych pociskami, ale niespalonych. Wyspa życia.

I na Polnej parę domów całych, bardzo posiekanych przez artylerię. I w podwórzach na Marszałkowskiej, na paru innych — oficyny niewypalone. Dokoła tych ziarenek zaczyna się żywiołowy proces narastania życia. Wydeptana ścieżka wymija gruzy, pogruchotane wanny, połamane meble i wiedzie do izdebki półciemnej i zapchanej gratami. Na mikroskopijnym piecyku syczy kasza. Zestarzałe kobiety odprawiają domowe misteria. Dzieci znoszą to najlepiej. Dla nich zmarły świat za ścianami izby jest terenem, w którym realne życie splata się z zabawą. Każde wyjście z pokoju to wyprawa naprawdę do dzikiej puszczy.

Na ulicach ruch. Paciorki przechodniów sączą się tam i z powrotem, z plecakami, z tobołkami i sankami. Na skrzyżowaniach wynikają doraźne rynki. Doczekaliśmy się. Na rogu Marszałkowskiej i Alej jest „Kiercelak". Kilkanaście bab z bułkami. Trochę handlujących na zamianę. Tłum gapiów.

Tyle nędzy zebranej do kupy nie ma dziś chyba w całej Polsce. Obliczają ludność dzisiejszą Warszawy na jakieś pięćdziesiąt tysięcy. Zatem pięćdziesiąt tysięcy nędzarzy.

Można wyciągać setki rozsądnych argumentów o długodystansowej, planowej akcji odbudowy Warszawy. Ale nie sposób nie uznać jednej absurdalnej racji. Żywioł ludzki, który pcha się z odległości trzystu i więcej kilometrów do Warszawy poprzez mróz, śnieg i głód, narażony na udrękę wleczenia ze sobą szczątków swego mienia lub wystawiony na samowolną i ciężką łaskę dziczy szoferskiej — ten żywioł pierwszy stanął do odbudowy stolicy i zdziała w niej chyba najwięcej. Grzyb, któremu wypadnie urodzić się pod kamieniem, wyrośnie koślawy, ale uniesie kamień swoim miękkim, nietrwałym ciałem. Te ciała ludzkie podnoszą sobą kamienie Warszawy, ci ludzie swoją duszą ogrzewają to straszliwe miasto. Ich jest przyszłość Warszawy.

DWA SLOGANY

Mamy w swoim języku jedno potworne przysłowie, diabli wiedzą skąd i jak do nas przybłąkane od jakichś conajmniej czterystu lat. Jest bluźnierstwem wymieniać je przy Warszawie.

Faktem jest, że za mało nam było krwawego września, aby zrozumieć śmiertelność drogi, którą wlokła nas grupa ludzi, zwanych w prasie dzisiejszej „kliką ozonową". Dopiero utrata Warszawy otworzyła narodowi oczy na ponury sens ideologii „rządu londyńskiego" i jego krajowych agentur. Ogarnia przerażenie, jeśli pomyśleć, jak niewspółmiernie mali byli ci ludzie w stosunku do dokonanej przez nich zbrodni. Garstka ambitnych miernot w obawie o własny upadek chwyta się za stolicę — ...i spycha ją w przepaść.

Nad tym warto pomyśleć. Co jest w nas, co nam leżało na oczach, co nam przesłaniało spojrzenie na surowy i straszny, ale logiczny bieg wypadków? Czy istotnie zapoznanie prawdy musieliśmy dwukrotnie w pięcioletnim (i trzykrotnie w stupięćdziesięcioletnim) odstępie zapłacić tak okrutną cenę? Czy nie było takich, którzy wiedzieli, którzy ostrzegali?

Gdybyśmy zaczęli schodzić w dół po drabinie skutków i przyczyn, doszlibyśmy nieoczekiwanie do dwóch sloganowych dziś haseł.

Gdybyśmy szukali możliwości ratunku przed rozbiorami, przed wrześniem i przed powstaniem warszawskim, przedostatnim stopniem byłoby to, na co lekarstwem jest **reforma rolna.**

Tylko na pozór jest to wniosek naciągnięty. Ciągle jeszcze jesteśmy narodem o spóźnionej strukturze socjalnej. Obok Węgier, których losy są dosyć równoległe do naszych, w Polsce ziemiaństwo przetrwało dłużej niż gdzie indziej, głębiej wżarło się w kulturę narodową, w psychologię nawet tych warstw, które nic z nim wspólnego nie miały, ściślej połączyło się z ludźmi, sprawującymi władzę w kraju.

Dlatego w XVII i XVIII wieku, ograniczając władzę królewską, sprowadzając ją do parodii, uniemożliwiło ono powstanie silnego organizmu państwowego, wydając nas na łup zaborców.

Dlatego w latach 1918—1939 łącznie z władcami kartelów przemysłowych utrwaliło antynarodowy rząd sanacji i ozonu i nie dopuściło do przyjęcia pomocy Rosji, obawiając się, że pomoc ta wpłynie na chłopów rewolucjonizująco.

Dlatego w sierpniu 1944 roku, widząc nadchodzącą nową Polskę, Polskę reformy rolnej, wypuściło sfory swoich pupilów z Borem na czele, aby zagrać ostatnią stawkę o swe istnienie. I ceną tej gry była Warszawa.

Tak w największym skrócie wygląda przedostatnia przyczyna naszych katastrof narodowych. Ale dlaczego nasz rozwój socjalny uległ zahamowaniu? Co przedłużyło żywot tej warstwy? Dlaczego w swoim czasie nie udało się jej okiełznać?

Odpowiedź na to dał jeszcze Bobrzyński. Odpowiedzią na to jest inny slogan dzisiejszy: **po Odrę i Nissę.**

Szlachta rządziła u nas, bo zbawienna w zaraniu i fatalna później unia z Litwą, zamiast — jak leżało w zamiarach jej twórców — zwrócenia się przeciw krzyżactwu i dobicia go raz na zawsze, stała się przyczyną wplątania się w spory i walki na wschodzie. Ogromne, słabo zaludnione tereny białoruskie i ukraińskie były tą glebą, na której wyrosły magnackie fortuny. Były także tą beczką bez dna, tą próżnią, wchłaniającą całą nadwyżkę ludnościową Polski. Niezadowoleni, niesyci, pokrzywdzeni szli tam — a przez to spadało, rozładowywało się ciśnienie socjalne w Polsce właściwej. Mieszczaństwo nie miało siły, by wspomóc króla w walce ze szlachtą. Pęd ku wschodowi gubił Polskę, jak gubi teraz — choć z innych przyczyn — Niemcy.

* * *

Wyjeżdżamy, pełni uczucia nieodwracalności tego, co się stało. Odbudujemy Warszawę, może prędko, może nie prędko. Będzie to z pewnością miasto lepiej rozplanowane i wygodniejsze dla ogółu mieszkańców. Ale tamtej Warszawy nie będzie. Raz jest dane życie człowiekowi. Nie tak wiele tego życia pozostało naszemu pokoleniu. I gorzka jest myśl, że będziemy to miasto budować, że wybudujemy je, ale nie starczy już nam dosyć młodości, aby w pełni przeżyć szczęście zwycięstwa nad zniszczeniem.

Dzieci. Ale cóż one będą mogły powiedzieć o tragiźmie tych lat? Jaka historia wypowie go bez reszty? Kto przekaże wieść o nas, ludziach dwóch wrześni, ludziach najgwałtowniejszego zakrętu w dziejach naszego narodu?

JAN KOTT

Pamięci Ojca

Lot ptaka wstrzymać w powietrzu i rysunek wież
miast, które uległy lub ulegną zniszczeniu,
na białych polach cień bezlistnych wierzb
— w milczeniu.

Na łęgach wiślanych w czas suszy rybackich łodzi
wąski ślad,
spalonych wsi odbicia w wodzie
— i kwiat.

Na drogach ślady kół,
armie idące bez końca,
— odnaleźć w ziemi dół
Ojca.

Lot ptaka wstrzymać, zadać kłam
polom buchającej zieleni,
dołom wykopanym nam,
dołom wykopanym Ziemi.

Pośród tysiąca salw
dosłyszeć tę, która zabiła mi Ojca,
potem patrzeć na dom wśród malw
i słońca —
patrzeć w wolność.

WACŁAW OSTROWSKI

Urbanistyka nowa a dawna



Zamek i kolumna Zygmunta przed wrześniem 1939 r.

Fouriera można by nazwać urbanistą: planował on rozmieszczenie ludności całego globu w opartych o zasadę kooperacji pracy osiedlach, liczących niespełna 2000 mieszkańców. Kulę ziemską miały pokryć tysiące takich osad, nazwanych przez Fouriera „falangami". Wymalowany przezeń z najdrobniejszymi szczegółami obraz falangi uderza nas dziś swą nowoczesnością: osiedle, pogrążone w zieleni ogrodów i sadów; pośrodku „pałac mieszkalny" ze wspólnymi salami jadalnymi, czytelniami, pracowniami, żłóbkami; domy jednorodzinne z ogródkami dla zwolenników odosobnienia; następnie warsztaty pracy, zabudowania gospodarcze, budynki rozrywkowe — i tak dalej. Troskliwy Fourier pamiętał nawet o oszklonych galeriach dla spóźnionych par, wracających z nocnych spacerów. Budynki miały być — przeszło 100 lat temu! — ogrzewane centralnie i oświetlone lampami gazowymi. Jeśli wierzyć anegdocie, Fourier przez szereg lat nie wychodził wieczorami z domu; w licznych swych pismach zapowiadał, że oczekiwać będzie wieczorem finansistów, którzy zechcą realizować projekty falang, aby zapewnić ludzkości życie w doskonałej harmonii i szczęściu, a imię swoje okryć chwałą nieśmiertelną. Ale możni tego świata pozostali niewzruszeni i ludzkość żyje nadal w stanie dalekim od zupełnej harmonii.

O Fourierze powiedziano, że był utopijnym socjalistą. Był on także utopijnym urbanistą.

Niebezpieczeństwo utopijności, nierealności, oderwania od życia ciążyło nad przedwojenną urbanistyką polską. W ciągu 20 lat niepodległości powstało u nas wiele planów pełnych rozmachu, planów o frapujących koncepcjach — ale większość ich nie realizowała się zadowalająco, albo nie wykraczała w ogóle poza sferę zamierzeń. Stosunkowo najlepiej urzeczywistniały się projekty, znajdujące oparcie w kredytach publicznych. Jeśli jednak — a tak działo się z reguły — zamierzenia objęte planem nastawione były na inwestycje prywatne, wówczas los projektu zależał tak samo, jak kiedyś los fourierowskich „falang", od zainteresowanych kapitalistów. Gdy lokata wydawała się rentowną, zwłaszcza gdy państwo systemem premii i przywilejów zmniejszało ryzyko, wówczas kapitał płynął wartkim strumieniem, a niekiedy wykraczał nawet poza wskazane mu planem koryto. Przykładem — Gdynia, w której poważne trudności urbanistyczne powstały na skutek rozsadzenia przez rozbudowujące się szybko miasto ram, wyznaczonych mu przez pierwotny plan zabudowania; zaprojektowane niedawno śródmieście okazało się za ciasne, zabrakło terenów na niezbędne cele. Ale gdy rentowność inwestycji wydawała się wątpliwą, plan nie realizował się, choćby urzeczywistnienie go było pilną potrzebą państwową lub społeczną. Nurt życia nie dawał się ująć w przygotowane łożysko i torował sobie własną, często krętą i nieoczekiwaną drogę.

Postawione urbanistom zadanie nie dawało się rozwiązać w systemie gospodarczym, który hołdował swobodnej grze sił, sprzeciwiał się porządkującej interwencji państwa i był w istocie swej bezplanowy. Konflikty występowały najsilniej w krajach, stojących pod znakiem wyraźnego liberalizmu gospodarczego. W Stanach Zjednoczonych A. P. na powstawanie i rozwój miast większy wpływ wywarły prywatne towarzystwa kolejowe, aniżeli jakiekolwiek plany urbanistyczne. A towarzystwa te kierowały się jedynie dążeniem do największych zysków, inwestując na terenach, które obiecywały znaczną dywidendę, a pomijając obszary nierentowne. Na głównych szlakach powstawały linie równoległe, budowane przez współzawodniczące ze sobą koncerny. Rozwijała się w ten sposób sieć kolejowa, nie zaspokajająca bynajmniej potrzeb kraju; w jej węzłach wyrastały miasta, a osiedla zdala od niej położone skazane były na długą jeszcze wegetację.

Czterdzieści lat temu wiadomość o zamierzonej fuzji współzawodniczących ze sobą towarzystw kolejowych, finansowanych przez banki Morgana i Harrimana, poruszyła Wall Street. Skończyłoby się bezsensowne konkurencyjne dublowanie odcinków, dalsza rozbudowa sieci mogłaby opierać się o zdrowsze zasady. Ale przeciw projektowanemu połączeniu wystąpił ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych „pogromca karteli", Teodor Roosevelt. Miał on silne oparcie w społeczeństwie, które obawiało się, że zamierzona fuzja wyda je na łup monopolistycznego kapitału. Swobodna konkurencja była uważana za jeden z filarów systemu ekonomicznego. Planowanie kierowane przez kartel nie ma, rzecz oczywista, dobra publicznego na celu. Ale hołdowanie liberalizmowi gospodarczemu doprowadza bezplanowość do absurdu.

Jeśli podczas prezydentury Franklina Roosevelta zrealizowano w Stanach Zjednoczonych szereg poważnych projektów z dziedziny elektryfikacji kraju, budownictwa wodnego, drogowego, czy mieszkaniowego, było to możliwe jedynie dzięki finansowaniu planu robót publicznych przy pomocy znacznych kapitałów państwowych. W Związku Radzieckim można było w oparciu o planową rozbudowę sieci komunikacyjnej wyzyskać drzemiące przez wieki bogactwa naturalne Syberii, można było szybko uprzemysłowić martwe dotąd połacie kraju i pokryć je miastami, albowiem gospodarka tego państwa kierowana jest planowo.

Musimy stwierdzić to z całym naciskiem: wysiłki naszej dawnej urbanistyki, zmierzające do planowego sterowania rozbudową kraju i poszczególnych osiedli, nie dały pożądanego rezultatu. Jeśli nowa urbanistyka nie ma być utopijna i nierealna, trzeba najpierw stworzyć jej sprzyjający klimat. Trzeba tak przekształcić system gospodarczy i społeczny kraju, aby jego planowa przebudowa zgodna z naszymi postulatami była możliwa. Musi być zapewnione jednolite kierownictwo wszystkimi inwestycjami państwowymi, samorządowymi czy prywatnymi w zakresie gospodarki społecznej. Plan krajowy i plany regionalne powinny ustalić zasady użytkowania obszarów całego kraju, układ sieci energetycznej oraz komunikacyjnej, lokalizację przemysłu, rozmieszczenie ludności, ośrodków miejskich i t. d. Na tej podstawie zostaną opracowane plany zabudowania poszczególnych osiedli, miast i wsi. Celem tych wszystkich planów jest pełne wykorzystanie zasobów i możliwości twórczych kraju.

*

W roku 1666 wybuchł w londyńskim City pożar, który szalał przez trzy doby. Ustał dopiero wtedy, gdy teren śródmieścia, na którym wzdłuż wąskich i krętych uliczek tłoczyły się drewniane przeważnie zabudowania, zamienił się w jedno pole zgliszcz i ruin. Miasto było już wyludnione przez szalejące w poprzednich latach epidemie; ogień trawił domy częściowo opustoszałe. Sir Christopher Wren, architekt Jego Królewskiej Mości, opracował wówczas projekt całkowitej przebudowy City. Rozplanował przejrzysty system ulic, oparty o kilka wielkich arterii przelotowych. Na tej kanwie rozmieścił sieć budynków publicznych. Nie liczył się przy tym z dawnymi granicami działek, po których w rzeczywistości pozostały zaledwie ślady. Londyn miał wtedy swą wielką szansę; mógł przeobrazić się z miasta średniowiecznego w nowoczesne tak, jak to się stało w dwa wieki później z Paryżem; mógł dokonać tego bez miliardów, które wydał Haussmann na burzenie domów. Ale nad pogorzeliskiem unosiły się duchy przodków, które tak chętnie straszą w angielskich zamczyskach, a przy zgliszczach stali przodków tych żywi spadkobiercy, właściciele i dzierżawcy placów, gotowi walczyć w imię świętej tradycji i nie mniej świętego prawa własności. Sir Christopher uległ w nierównej walce. I jego urbanistyka okazała się utopią.

Trudności wyzyskania terenów, niezbędnych na różne potrzeby rozbudowy miast, konieczność płacenia wygórowanych cen za nabywane działki, oto jedna z głównych bolączek naszej przedwojennej urbanistyki. Wysokie ceny placów w obrębie miast ciążyły fatalnie nad budownictwem mieszkaniowym, nad wznoszeniem szkół, szpitali i innych budynków użyteczności publicznej, nad urządzaniem zieleńców i tak dalej. Gdy w dziewiczym terenie COPu osiedlał się zakład przemysłowy, będący zapowiedzią przyszłego osiedla, ceny gruntów wzrastały w dalekim promieniu do fantastycznej wysokości. Powiedział ktoś, że miasto obarczone jest przekleństwem mitycznego króla Midasa, który konał z głodu i pragnienia, albowiem pokarmy, po które sięgał, zamieniały się w złoto. Podobnie przemieniały się w złoto — bo w działki budowlane — pola i łąki, gaje i lasy, do których zbliżało się miasto w swym rozwoju.

Bolączkę tę trzeba usunąć, spekulację terenową wykorzenić. Prawo musi umożliwić wyzyskanie obszaru miasta zgodne z planem zabudowania bez uciekania się do płacenia wygórowanych cen, musi zapewnić miastom potrzebne im do życia tereny. Zygmunt Stary wydał dekret, w myśl którego wolne place w Krakowie miały ulec konfiskacie na rzecz skarbu królewskiego, jeśliby nie zostały w określonym terminie zabudowane zgodnie z ich przeznaczeniem albo sprzedane zamierzającemu budować. Potrafilibyśmy zapewne znaleźć rozwiązanie bardziej nowoczesne, ale stwierdzić musimy, że dekret królewski z r. 1524 oznaczałby postęp w zestawieniu ze stanem rzeczy z roku 1939.

*

Obawa przed wojną lotniczą pozwoliła na wprowadzenie do polskiego prawa budowlanego krótko przed wojną zmian, o które na próżno walczono przez dziesiątki lat w imię haseł zdrowotnych i społecznych. Wznoszone w myśl nowych przepisów budynki miały powstawać w mniejszym zagęszczeniu, aniżeli dotychczas; w oczekiwaniu wojny gazowej zapewniono im większy dopływ powietrza i słońca, wzięto w opiekę istniejącą zieleń. Ale był to tylko krok pierwszy, teraz czas na dalsze i to mające na celu nie tylko zwiększenie bezpieczeństwa w czasie wojny. Gdy naloty nieprzyjacielskie poczęły szerzyć spustoszenia w miastach Rzeszy, Niemcy radykalnie zmienili swe przepisy budowlane, ograniczając gwałtownie dopuszczalną gęstość zabudowy. Odpowiadało to głoszonym od dawna przez urbanistów postulatom, nie dającym się jednak zrealizować w czasie pokoju. Kataklizm, który wstrząsnął naszymi miastami i osiedlami a jednocześnie głębokie przeobrażenia, jakim struktura państwa ulega, muszą być bodźcem do podstawowej zmiany zasad odbudowy miast, do dalszego podniesienia stawianych im wymagań, mających na celu polepszenie warunków bytowania szerokim rzeszom mieszkańców. Nowe zasady powinny przejawić się nie tylko w sposobie odbudowy zniszczeń, ale i w przebudowie tego co się uratowało. Wieś musi także ulec gruntownemu przeobrażeniu zwłaszcza w związku z przeprowadzaną reformą rolną. Celem naszym powinno być usunięcie rozpiętości między miastem i wsią w dziedzinie kultury i cywilizacji.

Nie czas jeszcze zajmować się szczegółami tej przebudowy, kreślić ponętny obraz przyszłych miast lub wsi. Zręby nowej Polski wyłaniają się dopiero z dymów i oparów wojny. Nie wiemy, jaki będzie ostateczny rozmiar spustoszeń wśród ludzi oraz w majątku narodowym. Nie wiemy, jakimi środkami materialnymi będziemy dysponowali przystępując do odbudowy. Dopiero gdy skrystalizują się przestrzenne, gospodarcze i społeczne podstawy, sprecyzujemy ostatecznie nasze hasła, postulaty i projekty. Wtedy też ustalimy terminy realizacji naszych planów.

*

Każda epoka znajduje swe odbicie w budowie miasta i w jego plastycznym wyrazie. Oblicze miast przyszłości zarysowuje się już w budownictwie okresu, zawartego między dwiema wojnami, tak jak nowe systemy gospodarcze i społeczne sięgają korzeniami w leżące za nami czasy.

Zawiązki przyszłych form dostrzegamy we fragmentach nowszych dzielnic mieszkaniowych zabudowanych jednolicie przez zarządy miejskie, spółdzielnie, czy inne instytucje publiczno-prawne. Kapitał społeczny występuje tu w miejsce prywatnego, planowa zabudowa zbiorowa w miejsce mniej lub więcej chaotycznej indywidualnej. Tego rodzaju budow-

CZESŁAW MIŁOSZ

Miasto

Nad ruinami wstaje dzień, wędrowny grajek
[pustym oknem gra,
Z głową na bok schyloną skoczne tony ze skrzypki
[wywodzi.
A w oknie tylko niebo, gołębi miga ćma
I tak w tej rannej ciszy świat nowy się rodzi.

I wiatr, gdy struny drutów pękły, martwe drzwi
[otwiera,
Na których klamce dotąd pozostał niezmyty
Ślad ręki poległego na gruzach bohatera
I toczy po pokoju dziewczyny zabitej
Szczesany z włosów puch.

A serce bije. Słuchaj. Jest w tym dziw nad dziwy,
Że ono trwa, gdy wszystkie oczy patrzą — nowe,
Ze wygrzebaną spod cegieł pokrywy
Stopioną w ogniu na drzwiach wieszają podkowę

Na inne szczęście. Słuchaj. I radość i wstyd
Żyć jeszcze raz na nieobeszłej ziemi,
Powracać i ślubować, gdy kasztan będzie kwitł,
Winy dawne odkupić czynami lepszemi.

Bólu prawdziwy, sławo i niesławo,
Ty wielka, że godna jesteś jedynie milczenia,
Brzękiem słów pustych twego nie dotknie imienia,
Kto tęsknił wie. Nie powie nic. Warszawo.

O Bolesna. Na gruzach praskich grająca kapela,
Mosty w dymach i serce bijące — i to wszystko.
I los — jak niebo, kiedy się rozdziela
Linią ognistą.

Że po raz drugi kształt nam ludzki oblec dano
I witać światłem buchające wieki,
Ty żyjący nie pytaj tamtych co to znaczy.
Z pól, gdzie hełmy im rdzawią topniejące śniegi,
Z barykad, z placów trawą zarosłych powstania,
Życia twojego żaden ci z nich nie przebaczy.

Grajku poranny, komu ty tak grasz,
Tam są schody bez domu i piętra bez żywych.
— Tobie gram, najpiękniejsze z urojonych miast
I najmutniejsze z prawdziwych.

1940.



Zburzona przez Niemców kolumna Zygmunta

nictwa niewiele było w miastach naszych w porównaniu z krajami Europy zachodniej czy północnej, często tonęło ono w morzu pozostałej zabudowy. A jednak jemu właśnie zawdzięczają i polskie miasta swe najlepsze, jeśli nie jedynie dobre nowsze fragmenty. Budownictwo zbiorowe musi nadać charakterystyczne piętno naszym miastom, na nim musi się oprzeć ich odbudowa.

Przed urbanistą otwierają się nowe możliwości kompozycji przestrzennej. Zbiorowa zabudowa pozwala na odstępstwo od schematu ze wszystkich stron zwarto zabudowanego bloku, okalającego zamknięte podwórze; schematu, który przez całe wieki był w praktyce omal że jedynie możliwym. Teraz budynek wyzwala się z więzi bloku, nie przesłania zwartym murem jego wnętrza, nie tworzy już tylko ściany ulicy czy placu, ale stać może swobodnie w przestrzeni, występować jako czynnik plastyczny. Dochodzi śmielej do głosu rytm kolejnych budynków, urbanista gra bryłami, kształtuje swobodnie przestrzeń. Zaprojektowanie jednego elementu architektonicznego schodzi na plan drugi wobec kompozycji całości, jednostka podporządkowuje się społeczności.

Efekt to niezwykły, gdy wędrując wśród murów starego miasta, zwracającego myśli nasze ku minionym wiekom, napotykamy nieoczekiwanie taką właśnie nowoczesną zabudowę, powstałą w odległych czasach: szeregi jednolitych budynków, wzniesionych zbiorowo; otwarte podwórza, dające schronienie zieleni; rytmicznie ustawione domy, tworzące kompozycyjną całość. Odnosimy wrażenie, jakby spod siwych włosów spoglądały na nas młode oczy. Ale pod społeczną formą kryje się na pewno kolektywne zadanie budowlane, wyprzedzające swym charakterem czasy, w których je postawiono.

Coraz większą rolę odgrywać będzie w kompozycji przestrzennej zieleń. Tęsknota za naturalnym krajobrazem, reakcja na wzrastające wynaturzenie oblicza miasta, przywraca drzewu, wegetującemu ongiś na bruku miejskim, jego pierwotną rolę — czynnika kształtującego krajobraz. Rozluźnienie zabudowy, otwarcie bloków mieszkalnych, pozwoli na swobodne wprowadzenie zieleni do miasta. Proces ten zostanie przyspieszony w związku z wojną, która wciągnęła drzewo do arsenału swoich środków, mających na celu wzmożenie bezpieczeństwa osiedli.

*

Zadanie odbudowy Polski, jakie postawiła przed nami historia, wymaga wysiłku ogromnego. Nie pierwszy to raz w dziejach niszczeją miasta polskie od tchnienia wojny. Gdy Warszawę zajęli Szwedzi, gdy ją odbił walcząc o każdą ulicę Jan Kazimierz, aby ją znów wydać na łup wrogom — ze stolicy pozostały gruzy, a liczba jej ludności zmalała prawie dziesięciokrotnie. A jednak Warszawa odbudowała się szybko ze zgliszcz. Tak samo odbuduje się teraz, a wraz z nią i inne zniszczone w czasie wojny miasta i osiedla. Musimy tylko wytężyć siły, aby dźwignąć brzemię zadań, jakie spadło na nasze barki; musimy świadomie zdobyć się na niezbędne ofiary i wyrzeczenia.

Gdy miano przystąpić do budowy obecnej katedry Notre Dame w Paryżu w miejsce poprzedniego skromnego kościoła, św. Bernard gromił pełen oburzenia: „O pycho bezprzykładna, o próżności ponad próżnościami! Sami w szałasach mieszkają, a Bogu chcą wznieść dom pełen zbytku; dzieci ich nagie są i bose, a kościół w szaty pyszne myślą stroić!" Czy były słuszne te słowa? Czy powtórzyłby je św. Bernard dziś, spoglądając na świątynię, która omal że samotnie przetrwała Paryż owych czasów aż po nasze dni? Rzecz oczywista, że wyznaczając sobie dalekie cele nie powinniśmy zapominać o potrzebach bezpośrednich, a pilnych. Ale wielkie osiągnięcia są niemożliwe bez wielkich ofiar.

O Notre Dame napisano później wiele słów pełnych zachwytu i podziwu, ale może nikt nie oddał katedrze paryskiej i jej budowniczym hołdu w sposób równie prosty i głęboki, jak to uczynił nie architekt, czy urbanista, nie historyk sztuki, czy kultury, ale — niestrudzony bojownik o niepodległość Arabów: Abd el Kader. Zmuszony po długich latach bezkompromisowej walki do zaprzestania oporu, odznaczony przez byłego wroga najwyższą dystynkcją Legii Honorowej, zaproszony został przez Napoleona III na wystawę do Paryża. Stolica jaśniała wtedy w pełnym blasku Drugiego Cesarstwa. Ale Abd el Kader nie był olśniony. „Kiedy Frankowie byli biedni", powiedział, „wybudowali nad Sekwaną meczet, jakiemu równych nie masz w Fezie ani w Kairze. Teraz, kiedy są bogaci, zdobyli się jedynie na 500 kramów i 1000 bud jarmarcznych. Albowiem do wielkich czynów zdolny jest tylko ten, kto ma Boga w sercu."

Wielka idea pobudzała do czynu pokolenia, które wznosiły paryską Notre Dame, wielka idea rozsadzała piersi młodocianych budowniczych metra moskiewskiego. Musi i nas przeniknąć patos zadania, jakie mamy przed sobą, abyśmy wytknięty cel osiągnęli.

ADAM WŁODEK

ROZRACHUNEK

W te dni zacisnął mnie głód
mocniej niż okolicę skręcony ucieczką
sznur wozów.

Wreszcie —
w rękach kołysze się chleb
wychodzony, wymarzony jak wiersz . . .

— Zjem!

Wtem jak strzał suchy: przechodzącego głos
i jego dłoń wyciągnięta!
Najtrudniej przełamać siebie,
lżej kromkę na dwie części.
W dymie dróg — kurzu kadzielnic
już nie ty prosisz.
Mój tylko szept: weź . . .

I pozwól nareszcie zapomnieć,
że wczoraj do innych ust
nie zbliżyłem jak serca — manierki.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

KSZTAŁT NAGŁY

Pamięci rozstrzelanej

Nim cię jeszcze będącą ubiegło niebo z ziemią,
już twój kształt obszedł cię śniegiem i tęczą.

Zatajona w odległości
i tak niepokonana,
że najciemniejsza noc nie wyśni cię na jaw,
żaden błysk nie rozwidni cię na mgnienie
(nawet przed westchnieniem obwarowana nieprzebytym okopem powietrza),
cichniesz wciąż nową po rozstrzelanych wstrząsającą mnie salwą,
skazana na moje życie
zaobłocznie.

Wzmagam
każdą kroplę krwi, bym naglej upływał,
każdą grudkę ziemi, by mnie pośpieszniej niosła wokół słońca.

Niech mi w oczach wzrok wybuchnie
i rozerwie całą materię ujrzenia,
by już żaden widok nie wyrósł z wyobraźni do światła.

Niech słuch skamienieje,
by nawet szelest mijającego krajobrazu go nie wzruszył.

Niech dłonie roztrwonią dotyk,
by wszystkie rzeczy naraz utraciły swoją odrębność.

Niech powonienie wysieje się w powietrzu,
by nie wschodziły już żadne, nawet lotne kwiaty z czystego zapachu.

Niech —

samym sercem wyczuję,
jak twoje serce bije w wolnej przestrzeni,
i moja krew natchnę
twoją krwią tryskającą ze wszystkich źródeł Ziemi.

— Bym
ze stron ubiegłych,
z ujrzeń zagasłych,
z wiatrów opadłych,
skupił cię w kształt nagły,
w gwiazdę z martwych powołaną do światła.

STANISŁAW WITOLD BALICKI

O, kocham Kraków...

„O, kocham Kraków, bo nie od kamieni przykrościm doznał,
lecz od żywych ludzi."

St. Wyspiański

RACHUNEK SUMIENIA

„Wychodzimy z podziemi, wracamy do swoich nazwisk, wczoraj odrzuconych, stajemy się tym, czym byliśmy, pisarzami; wracamy do swoich biurek, aby podjąć pióro, które powinno być płomieniem i piorunem, błyskiem pługa wrzynającego się w ugorną glebę, stukiem młota i kilofa, a może i biczem smagającym, byleby nie rany, byleby nie groby. Oniemiałe nasze usta, podeptane nasze serca budzą się, aby wypowiedzieć nakaz obowiązujący każdego pisarza — służba dla uciemiężonego, skrzywdzonego człowieka, praca dla Polski."

Tymi słowami rozpoczął Jan Wiktor pierwsze publiczne zebranie literatów krakowskich po pięcioletniej z górą okupacji, składając równocześnie hołd pamięci poległych i pomordowanych pisarzy, wspominając szczególnie nazwisko Ignacego Fika, którego „życie było symbolem buntu i walki o prawa człowieka."

Literatura krakowska musiała po tragicznych dniach września 1939 roku konspirować swą pracę i działalność. Uważała to za swój twardy obowiązek i wzniosłe przeznaczenie. W mieście najtrudniejszym do jakiejkolwiek pracy, do działalności szerszej, bo w „urdeutsche Stadt", gdzie na każdej ulicy, na każdych schodach, w każdym mieszkaniu panoszył się butny i ścigający nas wróg, podziemna literatura była czymś żywym. Ale czy twórczym?

Krążyły wiersze, broszury, odbywały się zebrania dyskusyjne, wieczory literackie, nawet przedstawienia teatralne, narastały rękopisy, powstawały dzieła. Dzieła, które powinny być obrazem przeobrażeń w duszy pisarza, jego rachunkiem sumienia i sądem nad duszą polską, nad przeszłością i teraźniejszością narodu, wskazaniem dalszych dróg. Czy będą? Czy rzeczywiście pisarze tak przebudowali swoją psychikę, by mogli być powołani do dokonywania przemian w duszy i życiu człowieka?

Mówimy o Krakowie. Mówimy, wątpiąc... Żywotność nie jest jeszcze twórczością. Literatura krakowska przez pięć i pół lat błąkała się, a często błądziła.

CIERPIĘTNICTWO

W styczniu 1943 roku od jednego ze znanych literatów, powieściopisarza i dramaturga zarazem, otrzymałem do oceny maszynopis „dramatu słowiańskiego" p. t. „Posąg Swantewita", dramatu, który już koła artystyczno-literackie Krakowa na konspiracyjnych zebraniach poznały i uznały za wybitny, ba, nawet zakwalifikowały go na jedną z czołowych premier organizowanego na powojenne dni reprezentacyjnego teatru. Przeczytałem i — odosobniony, załamałem ręce, ku wielkiemu żalowi i urazie autora.

Autor chciał dać dramat naszych dni. Szukał „genealogii teraźniejszości" i zatrzymał się, biegnąc myślą wstecz, dopiero na epoce Mieszka I, uważając, nie bez pewnej słuszności, że analogie są wyraźne, a nawet wstrząsające.

Dramat miał być bezpośrednim wezwaniem, rzuconym w głąb dusz polskich, więcej — słowiańskich, by ci „marzyciele nieprawi", ci „bohatyry, gdy wolność już krwawi", zaprzestali „swarliwych zwad", aby „swej własnej zagłady pogrobowcami nie byli", miał być wskazaniem dla dzisiejszych „na te tysiące duchów zapomnianych braci naszej, która ginęła w wiekach i wciąż ginie jeszcze".

Niestety, w utworze rozlewnym, choć nie bez pewnych wartości artystycznych i teatralnych, autor dał beznadziejny obraz przeszłości i dni współczesnych, zabłądził i chcąc wskazać nowe drogi, ruszył w drogę powrotną. Jego Słowiańszczyzna — to przerażające trzęsawisko. Gdy rzucić kamień w kryształową toń jeziora, odpowie wybuchem wody, coraz szerszym echem kręgów. Tylko maź błota i gnój przyjmie pocisk w swe łono i szybko, bezboleśnie zasklepi ranę. W „Posągu Swantewita" nikt nie chce walczyć o swe przekonania i idee, a Mieszko skłócony wewnętrznie, bierny i ślepy, rozmarzony i gadatliwy, nie posiada w sobie ani siły wodza, ani energii sprężystego męża stanu. Gdy walcząc z nawałą germańską w obronie ludów zachodniej Słowiańszczyzny ma wybrać między dwiema wiarami, dwiema ideami, dwoma światopoglądami, Mieszko wybiera męczeńską ofiarę krzyża.

Modlitwa Mieszka i apoteoza krzyża nie pozostawiają złudzeń, że Mieszko rezygnując z walki, nie myśląc o twórczym wysiłku narodu, co musi sprowadzić katastrofę biologiczną, pragnie tylko uratować jego duszę i honor. Polska — ofiara przemocy, bo o swych winach będzie zapominać, Polska cierpiętnica, widząca swój cel w pielgrzymce do krzyża — to ma być nasza ideologia, to ma być sztandar nowej Polski, powstającej do niepodległego i koniecznie twórczego bytu?

Mieszko zanadto się przejął poetycką i mistyczną filozofią naszych dziewiętnastowiecznych mesjanistów, nie widzących bliskiej możliwości realnego bytu i niepodległości ojczyzny, więc usiłujących usprawiedliwić i uwznioślić narodowe klęski.

Jeżeli tak obszernie wspomniałem o „Posągu Swantewita", utworze jeszcze nie wydanym i nie granym, to dlatego, że jest on przez swą ideologię reprezentacyjny dla umysłowości i programu czołowych ludzi krakowskiego życia literackiego i artystycznego z czasów okupacji. Inteligencja Krakowa po dwudziestu międzywojennych latach odnalazła wreszcie siebie we wspomnieniach i przeżyciach młodości, gdy ofiarnictwo, manifestowanie polskości i wiara w mesjanistyczne posłannictwo zastępowało realną treść, której na imię: Polska. Inteligencja Krakowa, nie wychowana społecznie, nie urobiona politycznie, zwężająca swe zainteresowania stale do ciasnego kręgu specjalności, skwapliwie i z wiarą, że to ma jedynie sens — zwróciła się do mistycyzmu i mesjanizmu.

Na tajnych kompletach, aż po pierwsze dni wolności Krakowa, uczono według starych programów i starych wiar, jakby się nic na świecie nie działo, jakby nadal bardziej palącym zagadnieniem było pytanie: „Ile Rykow zjadł zrazów", aniżeli zagadnienie Polski w pismach Ostroroga, Modrzewskiego, ludzi z „Kuźnicy" Kołłątajowskiej, Staszica, czy Lelewela. Najmłodsi zaś literaci, szukający doradców i opiekunów, z konieczności obracali się w orbicie wpływów „papieża" współczesnego mesjanizmu polskiego, Jerzego Brauna, grupowali się koło Janów Chrzcicieli tej ideologii Tadeusza Kudlińskiego i Juliusza Osterwy, tonęli w ich niebezpiecznym uroku, ba, nawet nawiedzali sędziwego, pełnego „widzeń" proroka — Wincentego Lutosławskiego.

PODZIEMNE PISMO, KSIĄŻKI I TEATR

„My, Polacy, jesteśmy narodem łatwych tradycjonalistów. Szybkie obrastanie w meszek tradycji, spraw i osób tej patyny niegodnych, jest nader pospolitą przywarą naszych odczuć kulturalnych... Ten pospieszny tradycjonalizm świetnie się godzi z naszym konserwatyzmem intelektualnym. Mało jest krajów, w których by wszelkie przemiany, zwłaszcza artystyczne, dokonywały się tak opornie i z takim opóźnieniem, a natomiast tak skwapliwie wzdragały się, raz zwyciężywszy, przed jakąkolwiek rewizją... Stąd powszechne spóźnianie się, stąd dobieganie do europejskiego poziomu... Płyny w polskiej butli artystycznej mało kiedy burzą się same, dopiero historia musi nimi potrząsać, lub zgoła butlę rozbijać. Ten tradycjonalizm i konserwatyzm duchowy styka się bowiem blisko, wynika w mierze pewnej z naszej nadmiernej wrażliwości osobistej, z poczucia nietykalności, drażliwej i szybko zastygającego w zdobytych formułach. Konserwatyzm jest tylko przystrojeniem w obiektywne piórka, posypane prochem przeszłości, górującego przeświadczenia — noli tangere personam meam. Często miewam podejrzenie, obserwując pisarzy i artystów naszych, kiedy się już wybili i mogą narzucać swoją nietykalność, że marzyłaby się im właściwie jakaś Skałka, czy inne grobowisko zasłużonych, gdzie można by już za życia leżeć, być okadzanym i tradycyjnym, ale z grobowca książki wypuszczać w smugach kadzideł i mirry. A publiczność sama, żeby zbyć się trudu — również chętnie za życia do takich grobowców wkłada. Exemplum: Wyspiański".

To kilka myśli wyjętych z krakowskich numerów podziemnego „Miesięcznika Literackiego" (listopad 1942), myśli nie nowych, ale wciąż świeżych. Właśnie na łamach tego pisma, któremu patronował m. in. Kazimierz Wyka, ukazało się nieco rozsądniejszych, walczących z płytkim tradycjonalizmem, domagających się, by literatura i sztuka były związane z życiem społeczeństwa, by pisarz reprezentował twórczy światopogląd. Sztuka ma być bezinteresowna, co nie znaczy nieodpowiedzialna. Sztuka i literatura „ma służyć człowiekowi jako osobie, odkrywając przed nim najgłębszy metafizyczny cel świata, sens istnienia i stawania się, a zarazem jego własny sens, jego rolę i powołanie".

Ten nowy „prąd" nazwano sobie — personalizmem. Nie lubię szufladkowania i etykietek. Zostawmy to przyszłości, która strupieszałe resztki będzie rozdzielać, grupować i przechowywać jako okazy. Pozwólmy pisarzom być ludźmi żywymi, wciąż gotującymi niespodzianki. Pozwólmy dojrzewać i rozwijać się, buntować — bo to jest twórczością. Pozwólmy im zrozumieć, że — jak głosi jeden z rzadkich sądów napisanych pod okupacją — „międzywojenne dwudziestolecie nie rozwiązało żadnego z problemów ukazanych przez najlepsze polskie umysły i pióra. Pytania, które stały przed Mickiewiczem, Słowackim, Norwidem, stoją dziś przed nami w zmienionej nieco formie, ale o niezmienionej istocie. Wydaje się, że poczucie ciągłości naszej kultury jest dzisiaj o wiele żywsze niż w roku 1918, kiedy zdobyta niepodległość przedstawiała się ludziom jako próg dzielący raz na zawsze od mroków niewoli i od dzieł, które

były tej niewoli przejawem. Rzeczywistość wykazała, że wszelkie takie progi i przeskoki w życu narodu są rzeczą wielce pozorną i że nie da się ominąć pewnych zagadnień, przewijających się czerwoną nicią poprzez karty naszych dziejów, jeżeli nie chce się wpaść w złudny spokój i upojenie mocarstwowym frazesem".

Słowa słuszne. Mądrość na tym polega, żeby wiedzieć, jakie zagadnienia są niezmienne i ważne. A tymczasem, gdybyśmy przeglądnęli stosy literackiej bibuły podziemnej, to ileż tam znaleźlibyśmy cierpiętniczego liryczenia, nagminnego frazesu. I dziś jeszcze na biurko redakcyjne spadają stare upiory, podpisane starymi i nowymi nazwiskami.

Powolne otrząsanie się ze starych widm i symboli znajdujemy na szczęście w niektórych fragmentach prozy, umieszczonych we wspomnianym „Miesięczniku Literackim", czy poznanych na wieczorach autorskich lub z krążących po mieście rękopisów. Znajdujemy też w tomikach „Biblioteki Poetyckiej", powołanej do życia w ostatnim roku okupacji przez najmłodszych krakowskich literatów Adama Włodka i Tadeusza Jęczalika, silnie związanych z twórczością Juliana Przybosia. Wydali oni, w nielicznych egzemplarzach, trzy tomiki tego poety (między nimi pierwsze wydanie zbioru „Póki my żyjemy", drukowanego następnie w wolnym Lublinie), dalej utwory Heleny Wielowieyskiej, „Filipa", Zofii Jaremko, Jerzego Laua, Adama Włodka i Tadeusza Jęczalika, przygotowali tom ostatnich poezyj Ignacego Fika, opublikowali również antologię wojennych wierszy poetów krakowskich, gdzie znalazły się także utwory T. Kwiatkowskiego, W. Zechentera i W. Żukrowskiego. Z przyjemnością stwierdza się u najmłodszych, przygarniętych szczerze przez znane już w literaturze nazwiska, wypracowywanie formy artystycznej, zgłębianie istotnych problemów, bunt przeciwko pospolitości i ordynarności, walkę o człowieczeństwo, o braterstwo nowego człowieka na gruzach starych form i starych myśli.

Młodzież literacka i teatralna wyżywała swoje często nieuświadomione pragnienia artystyczne w próbach i w przedstawieniach poetyckich fragmentów (nie koniecznie dramatów) Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, Norwida czy Żeromskiego, realizując po dłuższej wspólnej analizie tekstu marzony przez autora „Snobizmu i postępu" teatr słowa, który potrafiłby dać publiczności wstrząsające słuchowisko z „Ody do młodości", czy „Błogosławieństwa trzech wichrów". Ale o tej nielegalnej działalności teatralnej, głównie pod kierownictwem dr. M. Kotlarczyka, jak i o publicznych legalnych przedstawieniach, jedynym dostępnym ogółowi publiczności ruchu artystycznym — osobno.

NIE KŁAMAĆ!

Inteligencja Krakowa, a z nią literatura i sztuka, podjęła już z wielkim rozmachem, żywo i energicznie pracę, do której — bądźmy szczerzy — ideologicznie nie bardzo jest przygotowana. To musimy sobie uświadomić, nad tym musimy żmudnie popracować.

Ileż razy w latach okupacji gorycz i obawa sączyły się w umysł i w serca, gdy się czytało tomiki antologii poetyckich zza granicy i z kraju, gdy się uczestniczyło w wieczorach literackich i zebraniach dyskusyjnych (w gościnnym pokoju H. Wielowieyskiej odbyło się ich z górą pięćdziesiąt, mimo tragicznego przejścia z aresztowaniem Ignacego Fika i jego żony Heleny Moskwianki). Potężnej nawałnicy dziejów, mającej przeobrazić psychikę człowieka, przeciwstawiano — jakże często — skromniutkie i obłędne melodyjki chocholego tańca.

Jeszcze na kilkanaście godzin przed wyzwoleniem Krakowa, w mieszkaniu Jana Wiktora, który wbrew swej woli, ale dzięki ludzkiemu i twórczemu podejściu do drobnych, codziennych i wielkich duchowych spraw człowieka, stał się dla krakowskiego życia umysłowego czymś w rodzaju „instytucji", takiej, jaką była Eliza Orzeszkowa w Grodnie, — a więc jeszcze na kilkanaście godzin przed wyzwoleniem Krakowa w mieszkaniu autora „Błogosławionego chleba ziemi czarnej", zapatrzeni w ujęte wieżyc Mariackich, powtarzaliśmy jego słowa:

„Oby się nie dokonało z tobą to co z Warszawą! O, Miasto umarłe w pięknie zabytków i wspaniałości dziejów. Obyś zostało takie zawsze w swej chwale wieków. O, Miasto umiłowane, o, Miasto drogie, wybrane spośród wszystkich, jakie istnieją na tej ziemi."

I słuchaliśmy jak mówił:

„Legendy dziejowe z czcią przekazywane z pokolenia na pokolenie, to okłamywanie teraźniejszości przeszłością, to częstokroć spowijanie gnijącego trupa w całuny z tęcz lub z błyskawic. Usuwać trupy z dróg pochodu, aby nie zatruwały życia.

Spadek onych legend wzięli w swoje dłonie legioniści i w blaskach chwały stali na ołtarzach przez siebie wznoszonych. I byli tacy, co w pokorze, nieraz deptani, oplwani cześć im oddawali, kadzidła palili z hymnów, z pieśni uwielbiających. Później ich bękart — sanacja była mistrzynią w okłamywaniu. Ach, jakże ci bękarci okłamywali naród, aby nie poznał prawdy, choćby mógł przez to uniknąć wielu nieszczęść. Mgłą barwioną zasłaniali przepaść, czasem oparami z kloaki, zakrywanej przez nich sztandarem Rzeczypospolitej.— „Byczo jest! — Byczo jest."

Obowiązywała hierarchia okłamywania. Więc sołtys okłamywał wójta, wójt starostę, starosta wojewodę, wojewoda ministra, minister rząd, a rząd społeczeństwo, waląc je pałką w łeb. Kto by się ośmielił zaprzeczyć lub zedrzeć maskę z tej byczości — był defetystą, wrogiem państwa, zakałą narodu, szkodnikiem niegodnym pensji, awansu, „Polonii" i precz na śmietnik! To samo działo się przed powstaniem warszawskim; wzajemnie się oszukiwali od nizin po szczyty potęgą podziemi. Więc musiało wybuchnąć."

Godzina strzeżona

Mieczysław Jastrun. Godzina strzeżona. Lublin, Związek Zawodowy Literatów Polskich, 1944; str. 30 i 2 nlb.

Najnowszy tomik Mieczysława Jastruna różni się bardzo od przedwojennej jego twórczości. Uległa zmianie postawa poetycka Jastruna i uległy zmianie środki jego ekspresji.

Tematycznie zbiorek stanowi zwartą całość, jest jakby krwawym pamiętnikiem pięcioletniej okupacji niemieckiej, którąśmy przeżyli, a która ciąży nad nami jak zmora, jak widmo wieczyście obecne w najistotniejszych głębiach naszej psychiki.



Mieczysław Jastrun

Przesuną się przed nami pełne sugestii i siły wizje, odtwarzające grozę, koszmarność naszej rzeczywistości okupacyjnej. Życie na pograniczu świata żywych i zmarłych, kiedy to się nie wiedziało, do którego z tych światów się należy, bo tak krucha, tak przypadkowa była granica między nimi. A obydwa te światy jednakowo straszne, jednakowo upiorne, jednakowo pozbawione tego, co istnieniu nadaje sens. Straszna niewola, oddanie istnienia na łaskę przemocy, od której się bezwzględnie zależy, przemocy, która w każdej chwili może niszczyć bez żadnej i przed nikim odpowiedzialności. Przemoc tę reprezentują jakieś straszne, pseudoludzkie mechanizmy, bezduszne roboty, wychowane i przystosowane do mordowania. Tym nowoczesnym centaurom, w których twarzach lśni „szary połysk rewolwerów", dana jest absolutna bezkarność, bo ludzie, którzy się o ich zbrodniach dowiadują, są na nie równie obojętni, jak słupy telegraficzne, które przewodzą wiadomość o zbrodni. I tak oto panują w tym mieście bolesnym i męczeńskim (większość wierszy związana jest z Warszawą), znaczą swe panowanie krwią na brukach, dymem krematoriów, najstraszniejszym sponiewieraniem człowieczeństwa.

Dojrzały i świadomy artyzm Jastruna służy przede wszystkim wydobyciu potworności przeżywanych faktów, ma uświadomić grozę, nieludzkość tego, co się działo, przedstawić tak straszne — „że nazwane, oddychać przestaną". I tak np. w wierszu „Pogrzeb" straszność krematorium, zbrodnia, która została dokonana, jest ujęta w paralelę między tym, co dotąd ludzkość uważała za pogrzeb zmarłego, a tym, co Niemcy z nim zrobili:

> **Trumną był piec krematorium:**
> **Z powietrza przejrzyste wieka,**
> **I dym z żywego człowieka,**
> **Wywiany kominem historii.**

Podobnie potraktowany w wierszu tytułowym tępy a karny żołdak niemiecki, tak przywykły do wykonywania rozkazów, że zamordowałby gwiazdę, gdyby po godzinie policyjnej zstąpiła na ziemię.

Tę zasadniczą tendencję zaobserwujemy w rozbudowanych wizjach wielkich obrazów poetyckich, jak np. poszczególne części poematu „Sen nocy zimowej". Jest ona także dominującym typem metaforyzacji.

„Gdy my brzęczymy w ciałach jak w łańcuchach" — pisze poeta o nastroju Warszawy, ocierającej się co chwila o śmierć. Bohaterstwo jej ujmuje w taką metaforę — wizję: „Żegnaj miasto męczeńskie! na skrzydłach pożaru wzlatujące ku niebu".

Psychikę Niemca charakteryzuje mówiąc o jego „żarłocznych marzeniach", o duszy „jak zgaszona latarnia".

Szukając wyrazu poetyckiego dla tego świata grozy, dla tego koszmaru, którym była dla niego rzeczywistość okupacyjna, przezwycięża Jastrun tak charakterystyczny dla siebie estetyzm, przejawiający się przede wszystkim w bogato rozbudowanej retoryce. Uświadamia sobie tę zmianę, mówiąc o swojej mowie, która stała się ciężka i gęsta jak głaz, i słowniku, który „jak diament stracił blask i czystość".

Koszmar, z którego przeżycia zrodziła się „Godzina strzeżona", opanował niepodzielnie psychikę poety. Można powiedzieć, że Jastrun tkwi w nim, że się jeszcze z niego nie wydobył. Żyje dalej w tej potwornej epoce, która odwróciła naukę Chrystusa, bo zmieniała chleby w kamienie, w epoce, „co zrównała z wodą ścieków krew i zamordowała słowo".

Dlatego też tak silny jest pesymizm Jastruna („pewny jest tylko brzeg grobowej deski"): **W takich bólach zwierzęcych rodzą się formy, co, gdy dojrzeją, może nie będą lepsze.**

Pozytywne jest pragnienie zemsty i jej zapowiedź najwyraźniejsza w wierszu: „Pamięci straconych".

Myśl o postawie aktywnej, postawie walki zjawia się w wierszu „Więzień"; w rozmowie z wizją pragnie poeta zobaczyć wolną ziemię, wskazaną okiem, „które widziało armię Stalingradu".

Próba przezwyciężenia tych nastrojów, wydobycia się z tego kręgu potworności, rozładowania tkwiących urazów, przybiera formę marzenia o niepamięci, o leczeniu strasznych ran „powietrzem, ziemią". Ale tego uwolnienia się w poezji Jastruna nie ma, niepamięć jest tylko pozorna, jest tylko milczenie o tym, o czym już nie ma sił mówić. Nie ma wyjścia z tego zaklętego kręgu: potworna zbrodnia, której dokonano na duszy pokolenia, ciąży tu i odrzucić pamięci o niej, przezwyciężyć jej nie można. Przynajmniej tego nie potrafi, mimo wszelkie próby, poeta. Marzy co prawda o jakimś katharsis, oczyszczeniu, wyzwoleniu i chce wyrzucić z siebie te obrazy jak zepsutą krew. Ulega jednak ich strasznej sugestii, nie przezwycięża ich w sobie, nie wychodzi poza nie. Myśl o ratunku, o wyzwoleniu, nie zjawia się tu jako myśl o czynie wyrastającym ze zbiorowej woli, rodzącym się w kręgu tej samej rzeczywistości, w której poeta żyje i której tylko jedno oblicze widzi. Poeta przeczuwa wyzwolenie, ale wyzwolenie to pojęte jest jako coś, co przychodzi z zewnątrz. Strofa:

> **Widzę, spada z powietrza na ziemię**
> **w żywych ogniach latające plemię**
> **Salamander, słyszę ciężki przemarsz**
> **wojsk.**

pozornie tylko jest poetycką metaforą, pod którą kryją się twierdze latające czy czołgi.

Albo też — i to wydaje się najistotniejsze — wizja wyzwolenia jest u Jastruna tak całkowicie zbudowana z pragnienia, ostrego pożądania, że poeta nieufny wobec środków swojej poezji, która jest poetyką rzeczywistości męczeńskiej, nie organizuje jej, lecz prosi:

Ukaż mi wolną ziemię! Daj wolne powietrze!

Janina Kulczycka-Saloni

ZOFIA DRÓŻDŻ

Pierwszy uśmiech

Pełne mam serce niepokoju i nazwy miasta, które dobrotliwie ukryło w swych murach pamięć pierwszych niepowodzeń i nieporadnych klęsk na trudnej drodze poprzez wczesną młodość. Niedopalone szczątki wsi i rozwalone cielska czołgów rugują uśmiechniętą wizję miasta uczącej się młodzieży, czerwonego miasta garbarzy, miasta cichych bocznych uliczek okolonych kasztanami, dźwięczących tupotem zagubionych kroków spóźnionego przechodnia. Wiatr sypiący ostrym piaskiem w oczy, podnoszący z chodników chmury kart papieru i bijący w puste otwory wybitych okien przesiała wilgocią łez konturu placów, równych ulic, których nazwy pod tysiącem niemieckich napisów odnajduję, domyśla się serce. Z nieodstępnym smutkiem pustych ulic, pokrytych zwojami papieru i potłuczonym szkłem, śladami ucieczki Niemców i towarzyszącej im grabieży, snuję się, szukając śladów młodości, ludzi sprzed wojny, radości, która powinna się tu była ukryć przed drapieżną ręką wroga. Nieustanny huk samolotów i wybuch min, głębokie rowy, którymi rozkopano miasto, niemieckie napisy i przydeptane na chodnikach błoto napawają jednak smutkiem. Porywisty mroźny wiatr hula wśród czarnych gałęzi drzew. Na ulicach ukazują się przechodnie, mkną dudniąc ciężarowe samochody.

Ze wschodzącym słońcem zaczyna się dziwny pochód. Szeregiem zgarbione, obdarte, pookręcane w szmaty sylwetki niemieckich żołnierzy. Pod nieforemnymi, wielkimi czapami twarze szare i zapadnięte. Wzrok wbity przed siebie, obojętny. Szeregi obdartusów, którzy w poszukiwaniu życiowych przestrzeni wpadli we własną pułapkę. Pięć tysięcy jeńców-gestapowców, których przywódców zamknięto w klatkach dla psów, tysiące krzyży na niemieckim cmentarzu za miastem — oto końcowy rezultat panowania Niemców w Radomiu.

Pięć lat próbowali uczynić go miastem volksdeutschów. Deprawowali ludność, budowali wymyślne narzędzia tortur w lochach radomskiego gestapo, wieszali na balkonach fabryk, strzelali na ulicy. Ale Radom został przedwojennym Radomiem. Okaleczony, zakopany, z powybijanymi szybami pręży się teraz dumny choć smutny przebytą przeszłością, szydzi ze „zdobywców", tuż u jego stóp odbywających ostatnią wędrówkę.

Promienie słońca budzą miasto, które napełnia się rozgwarem. Właśnie na tle ciemnych jeszcze ścian domów, upstrzonych nazwami w przeklętej mowie SS-manów zatrzepotała na wietrze biało-amarantowa chorągiew. Na ulicach ukazała się polska milicja. Zielone mundury i sztywne rogatywki. W słońcu migocą srebrne kadłuby samolotów. Ulicami płyną lawy przechodniów. Radom opustoszały przez lata niewoli z powodu grozy łapanek pierwszy raz swobodnie oddycha. W budynku niemieckiego „Distriktu" urzęduje nowa polska władza: przedstawiciel rządu, starosta, przemysłowe grupy operacyjne. Tutaj ciągnie nieprzerwany potok interesantów i ciekawych. Rejestrują się fabryki, sklepy, zakłady.

Część fabryk zdążyli Niemcy zniszczyć. Dumę Radomia, olbrzymie zakłady Wytwórni Broni, serce nowego miasteczka, które w ciągu ostatnich lat przedwojennych malowniczo legło wokół linii kolejowej, wywieźli do ostatnich śrubek, do przewodów elektrycznych.

W nieuszkodzonych fabrykach organizują się rady załogowe. Radom pyta, jak będzie wyglądało nowe życie, prosi o informacje, jest gotowy do pracy. I kiedy pochłonięta falą przyglądam się mundurom milicji, czytam pierwsze polskie hasła, spieszę na wiec, informuję pytających lub pytam przypadkowo spotkanych, smutek wczesnego poranku znika wraz z kupami papieru i potłuczonego szkła, które troskliwe ręce zdążyły już spiesznie uprzątnąć. Radom zaczyna się uśmiechać. Wierzę i wiem — to będzie znów Radom czerwonych garbarzy i wesołej uczącej się młodzieży.

Radom, styczeń 1945.

Szkic poetyki Przybosia

Julian Przyboś. Póki my żyjemy. Lublin, Związek Zawodowy Literatów Polskich, 1944; str. 36 i 4 nlb.

Odrębność sztuki poetyckiej Przybosia jest widoma. Nie wielkiej trzeba geometrii, by odróżnić prostokąt klasycznej zwrotki z jej stałym schematem rymów od nieregularnych zygzaków oddalonych, ledwie współbrzmiących, asonansów. Lecz już to pierwsze wejrzenie na powierzchnię graficzną wiedzie w głąb zagadnienia. Gdy w wierszu klasycznym treść wchodzi w gotowe już kształty, tu, na odwrót, dopiero je sobie wytwarza. Tam szata rymów, rytmów, przewidzianych śpiewności czeka na przygodnych klientów; tu musi być zrobiona na miarę. Klasycyzujący poeci minorum gentium watują epitetami niezgodności formy z zawartością. Mistrzowie stwarzają pozór naturalnej, jakby przedustanowionej harmonii; lecz zawsze wiersz regularny ma, może dzięki przyzwyczajeniu naszego ucha, wewnętrzną dynamikę, która nawet poprzez wstawki i pustki unosi szczęśliwie ku końcowi; ułatwienie, obce wierszowi wolnemu, gdzie każde słowo nie na konieczność formalną, lecz na swą treść jedynie może się powoływać jako na rację swego istnienia. Stąd większe nasycenie: ubóstwo z trudem da się tu zamaskować. Pozbawiony potocznej śpiewności utwór taki albo rozpełza się w niezorganizowanym bełkocie, albo daje jednorazowy kształt jednorazowej treści.

Wybór formy wierszowej nie jest zatem przypadkiem: ku swobodnej skłaniają się poeci, wychodzący z przeżycia i szukający dlań odpowiedniego wyrazu; ku regularnej ci, dla których punktem wyjścia jest rytm, wzruszenie bez nazwy; tamci typu raczej wzrokowego, ci słuchowcy. Jedni wiedzą najpierw co, drudzy najpierw, jak będą pisać. Poecie pierwszej kategorii treść przyśległo wiersza jest dana; zagadnienie leży w wyrazie.

Potoczna mowa wypowiada uczucia nazywając je: „jest mi smutno, wesoło"; poetycka, przeciwnie, daje nie imię, lecz zawartość, odtwarzając z bodźców wyobrażeniowych u czytelnika to co wynikło z rzeczywistych. O ile jednak przyczyny fikcyjne ustępują w sile realnym, o tyle będą słabsze ich skutki; i opis zdarzenia nie wstrząśnie na równi z jego doznaniem. Poeta chcąc wywołać wrażenie równe

intensywnością własnemu, musi dać nie kopię, lecz swój odbiór rzeczywistości.

By przedstawić świat zgodnie z naszym odczuciem, trzeba go w sobie na nowo wytworzyć. Każdy gest zakreśla kontur napoczynającej się rzeczywistości; zamiary uginają się pod ciężarem ziszczeń. Orzeczenie dotwarza sobie przedmiot. Pejzaż górski u Przybosia jest wzburzony przerażonym spojrzeniem padającej taterniczki; chcącemu się oprzeć wyrasta usłużnie u rąk laska — z powietrza. I nie jest to dowolny świat spełniających się życzeń, lecz pole działalności ludzkiej, gdzie



Julian Przyboś

każde ramię przedłuża się o czyn. Czasowniki nieprzechodnie aktywizują się czynnym przedrostkiem: potok można wybiegać jak nagrodę, brzozę wysmuklić. Psychika, która nie zna zastoju, ujmuje świat nie w stanie, lecz w stawaniu się, w wiecznym, samotwórczym akcie. Krajobrazy nie są, lecz dzieją się w miarę spojrzenia. Katedra Notre-Dame pędzi w górę blokami granitu. Stół przebiera swą miarę jak czołg ruszający do ataku; szrapnel pęka ze słupów latarni („Równanie serca"). Już te przykłady same wskazują, jak bardzo technika ta, aktywizująca nieruchomość, mogła uwydatnić napięcia, zadatki przyszłych eksplozyj, kryjące się pod martwotą epoki przedwrześniowej. Toteż odrębność poetyki Przybosia objawiła się najpełniej w przedostatnim jego zbiorze „Równanie serca", który w formie i w treści był naładowany przeczuciem zbliżającej się wojny: niepowtarzalny zbieg tematu i opracowania poetyckiego.

Przedmiotem zbioru „Póki my żyjemy" jest wojna sama. Tej rzeczywistości, już w sobie dość dynamicznej, gdzie widnokręgi nie tylko przenośnie, lecz dosłownie się zapadają, nie sposób dynamizować; wiersz może ją tylko doścignąć.

I dościga. Nie wiemy, czy we współczesnej poezji batalistycznej jest wiele utworów, kosmicznym rozmachem równych „Nalotowi nocnemu". Bo — jak mówiliśmy poprzednio — wszelkie przedstawienie powinno intensywnością nadrobić to, czego mu brak w skuteczności: opis musi przewyższyć rzeczywistość, aby jej dorównać.

Zbiór „Póki my żyjemy" polaryzuje między dwoma biegunami: wojny, która dla poety pod niemiecką okupacją była synonimem bliskiej, prawie nieuchronnej, śmierci; oraz woli życia, wyrażającej się u artysty jako wola twórczości. Ta antyteza stanowi o patosie dziejowym zbioru Przybosia: wiara we własną poezję nabiera sensu wiary w przetrwanie dóbr kulturalnych naprzekór dookolnemu barbarzyństwu.

Wbrew czyhającej śmierci tworzyć — to naczelne hasło tego zbioru, powtarzające się w szeregu wariantów. Człowiek zagrożony stara się co najdroższe mieć przy sobie. Tak poeta w chwili niebezpieczeństwa, w obliczu aresztowania przez gestapo wyciąga dłoń po dłoń bliskiego człowieka. Tak uchodząc z bombardowanego miasta „ściska w ręce drobny swój rękopis silniej". Tak wreszcie, bezbronny, pozbawiony możności oporu wobec wroga, łowi na ustach konających polski hymn narodowy. Przyboś jest i tu, jak zawsze, wpatrzony w przyszłość; podobnie jak nie oblicza działania swych utworów na efekt doraźny, tak i przechodzi nad własną śmiercią do przyszłego zwycięstwa prawdy i dobra, które wtedy nie były jeszcze dla każdego tak oczywiste, jak dzisiaj.

Utwory Przybosia nie są po dawnemu jednolite: nie stylizują świata, wyrzucając zeń szczegóły nieharmonijne, poetyzując go — przez obcinanie. Nie unoszą się na śpiewności stałego rytmu, ani też zwrotki nie wynikają z nich jedna z drugiej, jak w najlepszych wierszach klasycznych. Kompozycja ta nie rozwija, lecz splata zestawione zdarzenia. Jedność jest dana w przeżyciu; wiersz ma ją wykazać, doprowadzić linie opisywanych zjawisk do punktu przecięcia; nie pomniejszyć, lecz przedłużyć rzeczywistość aż do harmonii. We wierszu „4. IV. 1943" niemowlę przebierające paluszkami w kołysce i słowiki, które za oknem kląskają niezliczenie, znajdują rozwiązanie, czy raczej związanie w syntetycznym zwrocie: „Słowik liczy, myli się i liczy na liczydle z dźwięku jej paluszki". Świat Przybosia nie jest stylizowany w treści, lecz w formie. Poeta zdaje się zakładać, że wszystko, co on przeżywa ma ukrytą łączność, którą wiersz ma wykazać.

Odnajdywanie między przedmiotami nowych, jeszcze nie uznanych, lecz jutrzejszych związków stanowi o stopniu „niezrozumialstwa", lecz zarazem o wartości społecznej poety. Teraźniejszość bowiem ma dwojakie oblicze: wsteczne i postępowe. Nazwać trawę kobiercem, drzewa baldachimem, co może się wydać w porównaniu z Przybosiem szczytem realizmu — to nawiązać do zmarłej, nikomu niepotrzebnej rzeczywistości. Zadaniem poety nie jest wydeptywanie dawno zarosłych ścieżek, lecz odkrywanie tendencyj rozwoju, przyszłych dróg świata i języka.

Epoka domaga się wciąż nowych wyrażeń, starym nadaje niekiedy straszliwą dosłowność. Zmartwychwstać — to brzmi dwutysiącleciem. Lecz połączenie „z rannych i z martwych wstać" ("Póki my żyjemy") — jak dźwigał się nad stosami rozstrzelanych niejeden z nas — nadaje temu zwrotowi przeraźliwą aktualność... Stylistycznie — jest to zeugma, odniesienie jednego czasownika w dwu znaczeniach do dwu rzeczowników lub przymiotników („trzepać słowa jak futra na wiosnę"). Drugą nie zanotowaną w tropologii starożytnej, lecz równie częstą u Przybosia formą rozszerzania możliwości języka, jest równoczesne użycie wyrazu dosłowne i przenośne: „kos zagaił wysokopiennie". Bo rzeczywiście: któż może zagaić, jeśli nie kos? A jeśli już kos w gaju zagai, to wysokopiennie, najwyższym tonem z najwyższego drzewa. Figury te przedłużają tak rzeczywistość, jak i mowę, idąc po linii dotychczasowych tendencyj w jutro. Takich odkryć, propozycyj językowych, skierowanych do społeczeństwa — jest u Przybosia nieskończenie wiele. Niektóre wiersze są ich ciągłym szeregiem. Toteż zakończenie nie może zawierać tu pointy wymaganej w poetyce dotychczasowej. Całym ciałem utworu wstrząsają równomierne wybuchy ładunków poetyckich.

Poezja nie może się obyć bez prawideł; już nazwa mowy wiązanej o tym świadczy. W wieku XVIII porównywano ją do rzeki, która, im w ciaśniejszym korycie, tym wyżej uderza. Lecz rodzaj tych barier się zmienia. Przyboś zastępuje dawne trudności nowymi: jednolitość osiąga nie melodią, lecz dalekosiężnymi skojarzeniami; zamiast rymu wprowadza wynalazki składniowe; zamiast gradacji wiersza ku końcowemu efektowi — równomiernie rozmieszczoną dynamikę. Jesteśmy świadkami nowej ewolucji środków poetyckich.

Artur Sandauer

Pożegnanie z liryką

Jerzy Putrament. Wojna i wiosna. Lublin, Związek Zawodowy Literatów Polskich, 1944; str. 29 i 3 nlb.

...Rozewrą się ramiona sośninom i brzozom,
odkryje ślad w moczarze niestygnący czerwiec,
tak przed tobą powstaną rzeczy, których grozą
zachłyśnięty na próżno do krzyku się zerwiesz.

...Nim zejdzie posiew zjawisk niedojrzałych jeszcze,
ucz się oczy poskramiać i nie gardź rozpaczą,
najsilniejszym uczuciem dziadów naszych, wieszczów,
których słowem stanęło to, co nas otacza.

Oto czemu skuleni przed występnym światem,
próżno szukając w sobie harmonii i dobra,
chylimy się do strzelistej symetrii kwiatów
i wielbimy poranka dwubarwny krajobraz.

(„Prolog")

Zagadnieniem, jakie stawia ten pierwszy, programowy wiersz „Drogi leśnej", wydanego w 1938 roku zbioru Putramenta, jest: przewaga pejzażu w jego własnej, jak w całej ówczesnej, poezji. Odpowiedź brzmi samooskarżeniem: malować przyrodę w obecnej chwili to zrzucić odpowiedzialność za występny nasz świat, to wyrzec się walki. Bujnie krzewiły się w literaturze przedwrześniowej krajobrazy: każda akcja, nie zdążywszy dotrzeć do rozwiązania, zaplątywała się po drodze w ich nieskończone liany. U niektórych, jak u Schulza, było to metodą; u młodszych, aktywniejszych — hamulcem. Lecz nadmierna opisowość wynikła nie tylko z niemożności walki; pozytywnie wywodziła się ona z pustki, z okalającej wszystkich, nawet pracujących, atmosfery bezrobocia. Biorąc logicznie, wychodzi to na jedno: brak pracy, związku z procesem produkcyjnym społeczeństwa, uniemożliwiał udział w jego zmaganiach; psychologicznie jednak — stwierdzenie to ukazuje przyczynę wyboru takiej właśnie tematyki. Wzrok bowiem normalny dostrzega przedmiot po to, by go dłonie mogły użyć; gdy je związać, oczy, błądząc bez celu, dojrzą więcej, być może, niż poprzednio — aż po atomy przyrody, aż po przyziemne, przytrawne bytowanie żuka na „Leśnej drodze"; zatracą jednak poczucie oddalenia, hierarchię ważności. Jak w widzeniu niemowlęcia, przestrzeń, pomniejszona o trzeci wymiar, rozmieszcza się na kulistej płaszczyźnie. Z mikroskopijną dokładnością dostrzega się wówczas to co jest, lecz nie, co to znaczy ani dokąd zmierza. Stąd zamiast akcji — opis.

Podobnie jak przestrzeń głębię, tak czas w świecie bezczynnych rąk gubi swój kierunek. Czym się bowiem różni chwila od chwili, jeśli nie swą nowością, zmianą, sprowadzoną naszym czynem? Bezruch odbiera czasowi jego radosny sens, pozostawiając mu tylko pustą formę: grozę mijania zbliżających ku śmierci godzin. Powstaje chronofobia, lęk przed czasem, dotkliwszy niż tamten — przed przestrzenią. „Trwać to znaczy mijać" — pisał wówczas poeta „Pełni lipcowej" i „Przedostatniego". Dziś napisałby może: „Trwać to znaczy działać".

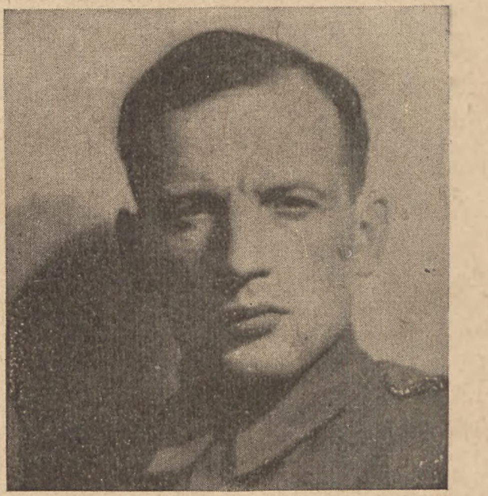
Jeśli w ogóle zagadnienie to jeszcze dlań istnieje. Bo

tamte dni się skończyły,
my, biedne historii giermki,
dziś poznajemy smak siły,
upajający i cierpki.

(„Toast")

Jakżeż tu znaleźć czas na doznawanie czasu, gdy przed oczyma wstaje „niezniszczalna, odrodzona i wolna" („Zamieć"); gdy trzeba „oswobodzić Górny Śląsk" („Pieśni"); gdy „wróg ma polec, my — zwyciężyć" („Śpiew narciarzy")? Zastygły, bezdziejowy czas zerwał okowy i ruszył. Jak mija wszystko, tak i minęła — bolesność mijania.

Czyżby jednak doprawdy nic nie zostało z tamtych dróg? I tutaj również znajdziemy wiersz o bezpowrotności chwili, tytułową „Wojnę i wiosnę"; czas jednak płynie w niej „potokiem gorących sekund", znacząc się nie samym tylko mijaniem, lecz i dzianiem się. Jeśli dawniej — dla eksperymentu literackiego — poeta próbował oglądać świat wielościennym okiem owadu, dziś — dla celów walki — podpatruje spojrzenie niemieckiego żołdaka („Na dnie", „Śpiew narciarzy"). Narracyjny talent autora „Święta kulo". odróżniający go od innych, przeważnie lirycznych, poetów, pozwala mu patrzeć cudzym okiem, śnić czyjeś sny (wiersz „Sny"), mówić obcym głosem („Fragment"): swoiste brzuchomówstwo poetyckie, które stwarza epika. Odejście od liryki czystej zwiastuje i szorstki, czasem z żołnierska rubaszny, ton tych utworów; i styl telegraficzny, gdzie cudze słowa, niby fotografia dźwięków, przytaczają się same od siebie, bez cudzysłowów; i wreszcie zastąpienie w całym prawie — prócz „Fragmentu", „Na dnie" i „Karabinu" — zbiorze wiersza sylabicznego — tonicznym, w którym liczą się nie, jak w tamtym, sylaby, lecz akcenty, a zgłoska, wymówiona z przyciskiem, równa się dwu lub trzem, okupując siłą to, czego jej brak w ilości. Stosowane po raz pierwszy w starożytnych chórach, zmienione w metodę poetycką przez Majakowskiego, metrum to zjawiało się stale wówczas, gdy wiersz, bardziej niż do czytania, przeznaczony do wygłoszenia z proscenium lub z estrady, miał nabrać cech retorycznych. Nieuwzględniony zazwyczaj warunek produkcji czy reprodukcji wiersza, głos ludzki, tu odzyskuje swoje prawa; jego wydechy, przerwy, zatknięcia służą jako dane przy obliczaniu przyszłych efektów. Pauza, spowodowana przecinkiem, zbiegiem spółgłosek, jest domyślną zgłoską; chwila milczenia równie ważna jak chwila dźwięku. Tak w „Zamieci" Putramenta urywany, szorstki



Jerzy Putrament

ton, wynikły z bezpośredniego następstwa trzech akcentów, nadaje pięciozgłoskowemu wierszowi „masz tytoń — skręć" wartość metryczną, równą innym siedmio- lub dziewięciozgłoskowym. Dawniej zastosował Putrament ten wiersz tylko raz w „Leśnej drodze"; dziś używa go stale, obliczając swą poezję na trybunę, na doraźny społeczny skutek.

Zbiór jego stoi na pograniczu poezji i działania. Przejrzyście skomponowany, daje najpierw w obszernej całości „Odjazdu" poetycką, choć zgoła nie poetyczną, historię początków Wojska Polskiego. W następnych sześciu utworach ukazuje oblicze wroga i wywołanej przezeń wojny. Na wyróżnienie zasługuje tu nieco awangardowe w stylu „Przejście czołgów" z doskonałym, antytetycznym zakończeniem

Na drodze leży dziecko, oczy półotwarte,
w rączce lalka

oraz najlepszy może w tomie, mickiewiczowski „Fragment". Ostatnie wreszcie dwa wiersze „Do Stalingradu" i „Karabin" dają syntezę dwu poprzednich grup i obozów czy raczej ich wrogie starcie. Stanowią one tym samym wydźwięk polityczny tego z walki i dla walki powstałego zbioru.

Nie u garstki literatów szuka poeta tego pokroju uznania, lecz u tłumnych sal, dla których wiersz jest wezwaniem do czynu.

Artur Sandauer

W poprzednim (dziesiątym—dwunastym) numerze „Odrodzenia" z dnia 15 stycznia: **Jerzy Boreisza:** Rewolucja łagodna. — **Julia Hartwig:** Pejzaże. — **Anna Kamieńska:** Wiosna 1942. Listopad. — **Jerzy Pleśniarowicz:** Ballada. — **Zbigniew Piotrowski:** Przemarsz. — **Zygmunt Mikulski:** Niedokończona opowieść. — **Igor Sikirycki:** Sen kapitana. — **Józef Stachowski:** Rozmowy z przyjaciółmi. — **Maria Grabowska:** Nad Manzanares i nad Wisłą. — **Stanisław Jerzy Lec:** Partyzanckie. — Pamięci Teodora Bujnickiego: **Jerzy Putrament:** Dorek. — **Janusz Minkiewicz:** Niewysłany list. — **Joanna Wyszkowska:** Ostatnie pożegnanie. — **Kazimierz Andrzej Jaworski:** Wspomnienia z Oranienburga. „Kwarantanna". — **Regina Fleszarowa:** Książka w okupowanej Warszawie. — **Helena Jaworska:** Obrońcom Stalingradu. — **Juliusz Kleiner:** Mickiewicz jako rewolucjonista i tradycjonalista. — **Jan Huszcza:** Nad „Panem Tadeuszem". — **Julian Przyboś:** Uwagi o Mickiewiczu poecie. — **Mirosław Żuławski:** Polska i Francja. — **Roman Werfel:** Problemy Powstania Listopadowego. — **Zbigniew Wielicki:** Chopin pod okupacją. — **Lech Niemojewski:** Popioły Feniksa. — **Teodor Bujnicki:** * * *. Północ. Kora. Ars poetica. Lipiec. Czwarta jesień. — **Stanisław Jerzy Lec:** Leśni nocują. — **Adam Ważyk:** „Wesele" jako dokument społeczny. — **Ignacy Witz:** Matejko wraca do życia. — **Artur Sandauer:** Przemiany. — Pisarze francuscy w walce. — Lew Tołstoj a wojna dzisiejsza.— 11 zdjęć (**Wł. Forberta, H. Makarewicza i Edm. Zdanowskiego**). — 16 stron.



Przybyli ułani...

fot. A. Forbert

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji i administracji: Kraków, Wielopole 1. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"